

MARY BALOGH

GWIAZDA BETLEJEMSKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wygląd dżentelmena, który usadowił się w pozie nader swobodnej przed kominkiem w bawialni swego londyńskiego *pied - a - terre*, pozostawiał wiele do życzenia. Białe jedwabne pończochy z najcieńszego jedwabiu - równie drogiego jak jedwab, z którego uszyto popielate spodnie - zsunięte były do połowy łydki, stopy dawno zostały pozbawione trzewików, bo dżentelmen po prostu skopał je z nóg. Znakomicie skrojony frak, który zwykle opinał ciało dżentelmena jak druga skóra, rzucony był niedbale na oparcie krzesła. Wszystkie guziki pięknie haftowanej kamizelki porozpinane. Chustka, nad którą służyący przed wyjściem dżentelmena biedził się co najmniej pół godziny, zawiązując węzeł mistrzowski, zwisała teraz smętnie i asymetrycznie z lewego ramienia. Modny artystyczny nieład ciemnych włosów stał się nieładem jeszcze większym, a to z powodu nieustannego przeczesywania włosów palcami. Półprzymknięte oczy nabiegłe były krwią.

Julian Dare, wicehrabia Folingsby, był niewątpliwie urzędujący.

Dlatego patrzył wilkiem, wielce z siebie niezadowolony. Picia na umór wcale nie miał w zwyczaju. Co innego hazard czy uwodzenie kobiet. To tak. Ale picie? - Nigdy! Zawsze wystrzegał się wszystkiego, co może zmienić się w zgubny nałóg. Miał przecież najszczerze chęci pewnego dnia skończyć z młodzieńczymi wybrykami i uszatkować się, tak jak życzył sobie tego jego ojciec, hrabia Grantham. A jak tu się uszatkować, będąc w szponach nałogu? Dlatego picie stanowczo było niewskazane.

Ziewnął szeroko, zastanawiając się, która to może być godzina. Północ na pewno już minęła, i to dawno. On, co prawda, z wieczorku u siostry wyszedł przed północą, jednak przed powrotem do domu wpadł jeszcze do klubu White'a, a potem podążył na jedno - może dwa? - - karciane przyjęcie. Suto zakrapiane, oczywiście.

Powinien wreszcie wstać z tego krzesła i położyć się do łóżka, niestety, jakoś brakło energii na obie te czynności. Powinien więc zadzwonić na służącego i kazać się zawlec do tego łóżka, ale nie miał nawet siły zadzwonić. Zresztą i tak byłby to próżny trud, bo tej nocy na pewno już nie zaśnie. Wiedział z doświadczenia, że kiedy ma się porządnie w czubie, wskazana jest pozycja pionowa, a nie horyzontalna.

I po co on, u diabła, tyle pił?!

Tym bardziej że stan, w jakim się znalazł, wcale nie przyniósł zapomnienia. Lady Sarah Plunkett*, niestety, nie wyleciała mu z pamięci. Plunkett... Co za nazwisko! Dziwaczne, ale pasuje do tej tłuścioszki. Na święta ma zjechać do Conway Hall, razem z szanownym papą i mamuską. Emma, najmłodsza siostra Juliana, wspomniała o tym w liście, który nadszedł wczorajszego poranka. Ojciec natomiast w swoim liście przedstawił sprawę jasno. Panna Plunkett, papa Plunkett i mamuska Plunkett nie są zwyczajnymi gośćmi, którzy uczestniczyć będą w zjeździe rodzinnym z okazji świąt. Julian zobligowany jest starać się o względy panny. Julian ma już dwadzieścia dziewięć lat i jak dotąd żadna dama nie wzbudziła w nim większego zainteresowania. Ojciec wykazał się nadludzką cierpliwością, lecz jest już ona na wyczerpaniu. Nadszedł bowiem najwyższy czas, żeby Julian się ustatkował. Jest jedynym synem, a sióstr ma pięć, z których trzy są jeszcze niezamężne i nie mają zapewnionej przyszłości. Dlatego obowiązkiem Juliana jest...

Uff... Wicehrabia Folingsby po raz kolejny przeczesał ręką włosy i spojrział pożądliwie na karafkę z brandy, znajdującą się w niewielkiej odległości. Niewielkiej, ale nie do pokonania.

Wcale nie zamierzał żenić się z tą panną. Nikt go do tego nie przymusi, nawet surowy, choć tak naprawdę kochający wręcz uciążliwie ojciec. Ani czuła mamusia, ani uwielbiające brata siostry. Za jakie grzechy Bóg obdarował go taką właśnie rodziną? - I dlaczego, po pierwszych triumfalnych narodzinach dziedzica hrabiowskiego tytułu, rozległych ziem i innych dóbr, hrabina Grantham wydawała już na świat wyłącznie dziewczynki? Dlaczego cała ta fortuna, po ostatnie pół pensa, obłożona jest klauzulą spadkową i jeśli Julian nie spłodzi co najmniej jednego dziedzica, wszystko przejdzie w ręce dalekiego kuzyna?

Julian z determinacją znów spojrział na brandy. Niestety, nie był w stanie przekazać decyzji w dół, czyli nogom i kazać im się poruszyć. A szkoda...

Tego ranka przyszedł jeszcze jeden list, od Bertiego. Bertrand Hollander był bliskim przyjacielem Juliana, wiernym druhem ze szkolnej i uniwersyteckiej ławy. Przyjaźń nie wygasła, choć Bertie większość czasu spędzał na doglądaniu swoich włości w północnej Anglii. Oprócz włości Bertie posiadał jeszcze domek myśliwski w Norfolkshire oraz kochankę w Yorkshire.

Wzajemnej prezentacji obu tych dóbr chciał dokonać podczas świąt Bożego Narodzenia. Zamierzał mianowicie wymówić się od świąt w gronie rodzinnym i zabrać swoją

* Plunk (ang.) - m.in. ciężko upaść. (Przyp. tłum.)

Debbie na cały tydzień do owego domku, do którego serdecznie zapraszał również Juliana, naturalnie z kochanką.

Julian aktualnie nie miał żadnej stałej kochanki. Ostatniej kazał odejść kilka miesięcy temu, kiedy wspólne wieczory stały się tak samo mdłe i nużące jak cotygodniowe bale w klubie Almacka. Teraz co jakiś czas umawiał się z pewną wdową. Były to spotkania satysfakcjonujące dla obu stron, wdowa jednak była wdową szacowną, należała do lepszego towarzystwa, więc wspólny, grzeszny tydzień w Norfolkshire w towarzystwie Bertiego i jego Debbie raczej nie wchodził w grę.

Do diabła! Jest chyba jeszcze bardziej pijany, niż myślał! Dopiero teraz przypomniał sobie, że zanim poszedł na wieczorek do Elinor, wstąpił do opery. Nie dlatego, że był miłośnikiem muzyki - a już na pewno nie opery, natomiast chciał obejrzeć przedmiot ostatnich plotek u White'a, czyli nową tancerkę, która ponoć miała morze wdzięku i choć na londyńskiej scenie zadebiutowała już kilka tygodni temu, nie pojawiła się jeszcze w sypialni żadnego z zabiegających o to usilnie dżentelmenów.

Zapewne czekała na wyjątkowo majątnego protektora lub na kogoś, kto ją oczaruje. Albo po prostu była kobieta cnotliwą.

Plotki mówiły o długich, zgrabnych nogach i gibkim ciele. Słusznie, zobaczył to na własne oczy. Także piękne włosy. Broń Boże nie rude, nic tak wulgarnego. Tycjanowskie. Oczy natomiast szmaragdowe. Naturalnie tego nie był w stanie dojrzeć ze swej łoży, dopiero kiedy po przedstawieniu stanął w drzwiach prowadzących do pokoju dla artystów.

Panna Blanche Heyward stała wśród usychających z tęsknoty wielbicieli. Julian spojrzał na nią, przez lornion oczywiście, a kiedy napotkał jej wzrok, lekko skłonił głowę, po czym dołączył do nieco większego zastępu dżentelmenów, skupionych wokół Hannah Dove, śpiewającej ponoć adekwatnie do swego nazwiska*, o czym właśnie zapewniał ją jeden z wielbicieli. Za to szyte grubymi nićmi pochlebstwo nagrodzony został wdzięcznym uśmiechem i możliwością ucałowania białej dłoni.

Julian po kilku minutach opuścił operę i udał się do salonów swej zameżnej siostry, podejmując po drodze ważną decyzję. Szturm na wątpliwą zapewne cnotę panny Heyward byłby ciekawym wyzwaniem, ale jeszcze ciekawsze byłoby zabranie owej ślicznotki do Bertiego na święta. Ot, taki tygodniowy romansik. Czemu nie? Z drugiej strony, jeśli Julian pojedzie do Conway Hall, czekają go tam takie jak zawsze święta, czyli tłoczne, gwarne i radosne. Niestety, czeka tam też córka Plunkettów...

* Dove (ang.) - gołąb, gołębnica. (Przyp. tłum.)

Co robić? Po chwili wahania podjął decyzję. Zapytać zawsze można. Jeśli tancerka powie „tak”, wtedy pojedzie z nią do Norfolkshire. Będzie to jego łabędzi śpiew, pożegnanie wolności, rozpusty i tak dalej. A na wiosnę, kiedy całe modne towarzystwo zjedzie do Londynu, w tym również córka Plunkettów, Julian spełni swój obowiązek. Oświadczy się i zanim nadejdą kolejne święta, tłuscioszka powiększy znacznie swą objętość. O dziecko w łonie.

Przygnębiony tą myślą, podparł ręką obolałą głowę. Ręką, w której jeszcze przed chwilą trzymał kieliszek. Co on, do licha, zrobił z tym kieliszkiem? - Upuścił na podłogę? Czy było w nim jeszcze trochę brandy”?

Dyskretne pukanie skłoniło go do spojrzenia w stronę drzwi, w których pojawiła się pełna szacunku twarz służącego.

- Wiem, wiem, pora do łóżka - odezwał się Julian bełkotliwym głosem - ale z tym będzie mały kłopot. W chwili mojej nieuwagi ktoś powyciągał mi z nóg kości.

- Tak, milordzie. - Służący zdecydowanym krokiem podszedł do chlebobdawcy. - Teraz lęka się pan, że ktoś jeszcze pozbawi pana głowy. Można temu zaradzić. Gdyby mógł pan wstać i objąć mnie ramieniem...

- Gamoń... - syknął Julian. - Przypomnij mi, kiedy wytrzeźwieję, że mam cię zwolnić!

- Nie omieszkam tego uczynić, milordzie.

Kilka godzin wcześniej, jeszcze zanim wicehrabia Folingsby z nogami pozbawionymi kości i bolącą głową opadł na krzesło przed kominkiem, panna Verity Ewing wchodziła do pewnego domu w niezbyt modnej dzielnicy. We wszystkich oknach było już ciemno, dlatego panna Verity klucz w zamku przekręcała jak najciszej, a do środka weszła na palcach z mocnym postanowieniem, że nie będzie zapalać świecy, a poza tym, gdy ruszy po schodach, musi pamiętać o ósmym stopniu, który skrzypi przeraźliwie.

- Verity? Niestety, ledwie zdążyła postawić stopę na pierwszym stopniu, drzwi bawialni otwały się i do ciemnego holu wpadł snop światła.

- Tak. To ja, mamó. Nie musiałaś na mnie czekać.

- Nie mogłam zasnąć. Wiesz, jak się martwię, kiedy tak długo jesteś poza domem.

Weszły do wychłodzonej bawialni. Pani Ewing postawiła świecę na stole i owinęła się szczelniej szalem.

- Lady Coleman po operze została zaproszona na kolację - wyjaśniła Verity. - Chciała, żebym jej towarzyszyła.

- Postąpiła bardzo nierozważnie, zresztą nie pierwszy raz. Jak można córkę dżentelmena każdego prawie dnia przetrzymywać do późnego wieczoru i odsyłać do domu dorożką, a nie swoim powozem!

- Wykazuje się wielką uprzejmością, wynajmując dla mnie dorożkę, mamó. Brr... Ależ tu zimno! - Nie musiała się pytać, dlaczego nie napalono w kominku. W ich skromnym gospodarstwie tyłoby to wielką ekstrawagancją. - Chodźmy już, mamó, na górę. Jak czuła się dziś Chastity?

- Zakasłała trzy albo cztery razy, i za każdym razem krótko. Ten nowy lek jest chyba bardziej skuteczny.

- Mam nadzieję. - Verity uśmiechnęła się i wzięła ze stołu świecę. - Chodźmy, mamó.

Niestety, nie udało się uniknąć zwyczajowych pytań, Jaką wystawiano operę, jaką suknię miała lady Coleman, w czym była towarzystwie, u kogo była proszona kolacja, co podano do stołu i o czym rozmawiano. Verity odpowiadała, nie chciała bowiem robić matce przykrości. Najwięcej miała do powiedzenia na temat sukni lady Coleman.

- Ta lady Coleman jest dziwną osobą - powiedziała pani Ewing ściszone glosem, były bowiem już na piętrze. - Zwykle dama do towarzystwa mieszka u swojej chlebowczyni i przez cały dzień lata koło niej jak fryga, ale wieczorem, kiedy pani bywa w towarzystwie, może sobie odpocząć.

- Nie zniosłabym, gdybym musiała mieszkać u niej, a z tobą i z Chastity mogłabym się spotykać tylko w wychodnie. Lady Coleman jest wdową i kiedy gdzieś bywa, musi ktoś jej towarzyszyć. Tak po prostu wypada, a ja nie wyobrażam sobie przyjemniejszej posady. Poza tym płaci mi dobrze, a dziś powiedziała, że jest ze mnie bardzo zadowolona i zamierza znacznie podwyższyć mi pensję.

Wbrew jej oczekiwaniom, matka wcale nie okazała zadowolenia. Potrząsnęła tylko głową i odebrała od Verity świecę.

- Och, kochanie... Nigdy bym się nie spodziewała, że nadejdzie dzień, kiedy moja córka będzie szukać posady. Wielebny Ewing, twój ojciec, niewiele nam co prawda zostawił, ale gdyby nie choroba Chastity, bez trudu związałybyśmy koniec z końcem. I gdyby generał sir Hector Ewing nie przebywał teraz w Wiedniu, gdzie prowadzone są ważne pertraktacje, na pewno by nam pomógł. W końcu ty i Chastity jesteście córkami jego rodzonego brata.

- Och, mamó! Nie zadręczaj się! - Cmoknęła matkę w policzek. - Cieszymy się, że wszystkie trzy jesteśmy razem, a Chastity powraca do zdrowia dzięki temu, że zbadał ją doktor, prawdziwa sława, i zaordynował skuteczny lek. Dobranoc, mamó!

Chwilę później Verity cichutko zamknęła za sobą drzwi do pokoju, który dzieliła razem z siostrą, i na moment znieruchomiała. W mrocznym pomieszczeniu słychać było tylko głęboki, równy oddech. Chwała Bogu, siostra śpi. Rozebrała się więc szybko i dygocząc z zimna, wsunęła się pod koldrę, naciągając ją na głowę. Ale i tak dzwoniła zębami. Może nie tylko z zimna...

Przecież bawiła się w grę bardzo niebezpieczną. Ile czasu jeszcze upłynie, zanim matka zorientuje się, że żadna lady Coleman nie istnieje, a Verity wcale nie ma pracy lekkiej i stosownej? Na szczęście w Londynie mieszkają od niedawna i nikt spośród tych niewielu osób, jakie zdążyły poznać, nie obraca się w modnych kręgach towarzyskich. Do przeprowadzki zmusiła ją stan zdrowia Chastity, która zeszłej zimy, tuż po śmierci ojca, nabawiła się uporczywego przeziębienia. Wkrótce stało się oczywiste, że konieczna jest pomoc prawdziwego specjalisty, a nie miejscowego konowala, choroba bowiem może skończyć się tragicznie.

Bały się, że Chastity nabawiła się suchot, jednak, na szczęście, londyński doktor to wykluczył. Stwierdził, że Chastity ma bardzo słabe płuca i powróci do zdrowia tylko wtedy, gdy będzie odżywiać się prawidłowo i zażywać odpowiednie leki.

Niestety zarówno wizyty u doktora, jak i zaordynowane przez niego leki były bardzo drogie, a na jednej wizycie nie mogło się skończyć. Poza tym utrzymanie nawet tak skromnego gospodarstwa, na jakie musiały się zdecydować, kosztowało niemało. Sterta niezapłaconych rachunków za węgiel, świece i jedzenie była coraz większa, dlatego Verity zaczęła rozglądać się za jakimś zajęciem stosownym dla córki dzentelmena, zapewniając matkę, że to tylko na jakiś czas, aż stryj nie wróci z Wiednia do Anglii i nie dowie się o ich kłopotach. Jednak w głębi ducha Verity nie bardzo wierzyła w dobre intencje bogatego stryja, który za życia ojca nie utrzymywał z nimi żadnych stosunków. Także dziadek odsunął się od najmłodszego syna, kiedy ten odmówił poślubienia majątnej panny i wziął za żonę córkę dzentelmena o nieszczególnym majątku i pozycji.

W mniemaniu Verity opieka nad matką i siostrą całkowicie spoczywała na jej barkach, kiedy więc nie udało jej się zdobyć posady guwernantki lub damy do towarzystwa, ani, gdy znacznie już obniżyła loty, ekspedientki, szwaczki czy pokojówki, przystała na propozycję wręcz nieprawdopodobną. W operze potrzebne były nowe tancerki, a ona zawsze uwielbiała tańczyć, zarówno w sali balowej, jak i w samotności, wśród krzewów w ogrodzie czy w jakimś pustym pokoju na probostwie. Ku jej wielkiemu zdumieniu próba wypadła pomyślnie i została zatrudniona.

Była w pełni świadoma, że występy na scenie w jakimkolwiek charakterze - aktorki, śpiewaczki czy tancerki - dla damy nie są stosownym zajęciem. Przecież w powszechnym mniemaniu wszystkie te kobiety to ladacznice. Czy miała jednak jakiś wybór? I tak zaczęło się jej podwójne życie. W ciągu dnia, oprócz godzin, które spędzała w sali prób, była panną Verity Ewing, zubożałą córką szlachetnie urodzonego duchownego, bratanicą wpływowego generała sir Hectora Ewinga, natomiast wieczorami przeistaczała się w Blanche Heyward, tancerkę operową, na którą zerkała pożądliwie co najmniej połowa dżentelmenów z londyńskiej socjety. Gra była naprawdę ryzykowna, bo zawsze istniała możliwość, że ktoś ją rozpozna, nawet jeśli nikt spośród dawnych sąsiadów z prowincji nie miał zwyczaju bywać w Londynie i korzystać z miejskich uciech. Poza tym Verity sama zamykała sobie drogę do lepszego towarzystwa, w którym mogłaby się kiedyś znaleźć, gdyby stryj generał faktycznie zdecydował się im pomóc. Tą kwestią jednak na razie nie zaprzętała sobie głowy. Teraz miała inny, wielki kłopot. Gaża tancerki, niestety, okazała się niewystarczająca...

- Verity? Natychmiast wysunęła twarz spod kołdry.

- Tak, kochanie, to ja. Wróciłam.

- A ja przysnęłam! Och, Verity, jakże bym chciała, żebyś nie musiała wieczorami wychodzić z domu...

- Gdybym tego nie robiła, nie mogłabym ci opowiadać o wspaniałych przyjęciach i przedstawieniach.

- Ale mnie i tak jest bardzo przykro. Przecież wiem, że to dla mnie tak się poświęcasz. Pewnego dnia odwdzięczę ci się za to. Obiecuję.

Verity zamruwała, żeby powstrzymać łzy.

- Oczywiście, że tak, skarbie! Na wiosnę zatańczysz wśród pierwiosnków i żonkili, a na twoich policzkach zakwitną róże, wyjątkowo wcześnie jak na porę roku! Wtedy rzeczywiście mi się odwdzięczysz, podwójnie. Nie - po dziesięciokroć! A teraz śpij, głuptasku!

- Dobrze. Dobranoc, Verity... - Chastity ziewnęła szeroko, po chwili znów słychać było głęboki, miarowy oddech.

Tancerka tylko w jeden sposób może zwiększyć swoją gażę. Wiele osób spodziewało się, że Verity w końcu się na to zdecyduje. Och...

Znów nakryła głowę kołdrą. Ta paskudna myśl dręczyła ją co najmniej od tygodnia, a dziś wieczorem te słowa same uleciały jej z ust. O tym, że lady Coleman zamierza płacić więcej... Jakby Verity podświadomie szykowała się już do tego kroku.

W pokoju dla artystów po każdym przedstawieniu czekał na nią spory tłumek wielbicieli. Dwóch dżentelmenów uczyniło jej już niedwuznaczne propozycje. Jeden z nich wymienił nawet kwotę, od której Verity zakręciło się w głowie, ale powiedziała sobie w duchu, że nawet nie poczuła się skuszona. Niestety rzecz polegała nie na pokusie, a na chłodnej decyzji.

Trzeba koniecznie zdobyć pieniądze na dalszą kurację Chastity.

Oddać niewinność za życie siostry.

Ujmując to w taki sposób, właściwie nie ma się nad czym zastanawiać.

A potem pomyślała jednak o pokusie, która pojawiła się tego wieczoru pod postacią wysokiego i ciemnowłosego dżentelmena. Kiedy stanął w drzwiach pokoju dla artystów, na ładnych kilka minut wycelował lornion w Verity. Potem, co prawda, dołączył do panów zgromadzonych wokół Hannah Dove, ale Verity i tak miała dziwne uczucie, że dżentelmen ów cały czas popatrywał na nią.

Był to wicehrabia Folingsby, notoryczny hulaka, jak powiedział jej potem jeden z tancerzy. Verity i tak sama by się tego pewnie domyśliła, lord bowiem, oprócz tego, że nadzwyczaj przystojny, spojrzenie miał przenikliwe, a jednocześnie jakby nieco senne. Z całej postaci emanowały pewność siebie, arogancja i jeszcze coś. Zmysłowość.

Pomyślała wtedy, że to następny hulaka i rozpustnik, zarazem jednak poczuła ogromną pokusę. Gdyby wtedy podszedł do niej, gdyby uczynił jej propozycję...

Chwała Bogu, że tego nie zrobił.

Niestety Verity była świadoma, że wkrótce i tak będzie rozważać tego rodzaju propozycje. Tak! W końcu trzeba nazwać rzeczy po imieniu. Zostanie czyjąś kochanką. Kochanką? Nie, to niezbyt ściśle. Zostanie utrzymanką. Och, Boże...

Zamknęła oczy, powtarzając sobie w duchu z rozpaczliwą determinacją, że to dla dobra Chastity. By siostra nie odeszła na zawsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Julian po dwóch dniach ponownie zjawił się w pokoju dla artystów, Blanche Heyward zajęta była rozmową z kilkoma dżentelmenami, Hannah Dove natomiast ginęła w tłumie swoich wielbicieli. Jego lordowska mość, jako że nie zamierzał okazywać zbytnej gorliwości, najpierw dołączył do tłumu i dopiero po kilku dobrych chwilach podszedł do tancerki o tycjanowskich włosach.

- Panno Heyward - wycedził, składając przed nią ukłon - chciałbym wyrazić moje największe uznanie dla pani dzisiejszego popisu. Jestem oczarowany!

- Dziękuję, milordzie. Głos panny Heyward był niski i melodyjny.

Uwodzicielski, zapewne specjalnie podszkolony w tym kierunku. Spojrzenie bardzo otwarte. Czy także sprytny? Tego nie zauważył, ale i tak był przekonany, że nie stoi przed kobietą cnotliwą.

- Ja też właśnie komplementowałem pannę Heyward za jej talent i wdzięk, Folingsby - powiedział Netherfold. - W sali balowej panna Heyward zawstydziłaby wszystkie damy. Każdy dżentelmen zapragnąłby tańczyć tylko z nią. Jeden szczęściarz dostałby tego zaszczytu, a reszta dżentelmenów pożerałaby panią wzrokiem. W rezultacie wszystkie pozostałe damy podpierająby ściany!

Dżentelmeni wybuchnęli śmiechem. Julian przyłożył lornion do oka. Zdawało mu się, że dostrzegł w oczach panny Heyward gniewny błysk.

- Pan mi schlebia - powiedziała raczej oschłym tonem. - Ale dziękuję. Dziękuję wszystkim panom za miłe słowa. Niestety, jestem już bardzo znużona. To przedstawienie było męczące.

Królowa jasno dawała do zrozumienia, że odprawia swój dwór. Dżentelmeni oddalili się posłusznie, kłaniając się i życząc dobrej nocy.

Pozostał Julian.

- Milordzie? - Panna Heyward spojrzała na niego pytająco.

Lornion zawisł na łańcuszku. Julian, założywszy ręce w tył, odchrząknął.

- Sądzę, panno Heyward, że na znużenie tak samo dobry jak sen jest lekki posiłek, spożyty w miłej, spokojnej atmosferze. Czy miałaby pani ochotę zjeść ze mną kolację?

Otworzyła usta, żeby odmówić - ten zamiar wyczytał z jej twarzy. A jednak zawahała się, po chwili zaś, unosząc cienkie brwi, spytała:

- Zjeść kolację, milordzie? - Zarezerwowałem przytulny gabinet w tawernie, niedaleko stąd. Oczywiście, że mogę pójść tam sam, ale co szkodzi zjeść kolację w miłym towarzystwie.

Nie zabrzmiało to szczególnie uprzejmie, ale zrobił to z rozmysłem. Jakby dawał do zrozumienia, że zaprasza, owszem, ale nalegać nie będzie.

Panna Heyward spojrzała na swoje dłonie. Zapewne szykowała grzeczną odmowę, było jednak oczywiste, że propozycja jest dla niej kusząca. Albo też - i to wydało mu się najwłaściwszą interpretacją jej zachowania - była tak samo biegła w niemym przekazywaniu wiadomości jak on. W tym przypadku z rozmysłem najpierw zamierzała okazać wahanie i pewną obojętność, dopiero potem akceptację.

Postanowił cały ten proces nieco skrócić.

- Panno Heyward... - Pochylił się nieznacznie w jej stronę i zniżył głos. - Zapraszam panią na kolację do tawerny, a nie do mego łóżka.

Poderwała głowę, spojrzała mu prosto w oczy. W jej oczach, ku swemu zdumieniu, dojrzał ulgę.

- Dziękuję, milordzie! Nie ukrywam, że jestem nie tylko znużona, ale i głodna. Gdyby pan zechciał chwilę poczekać. Pójdę po swój płaszcz.

Gdy wstała, zauważył, że jest bardzo wysoka. Zwykle zdecydowanie górował nad kobietami, a panna Heyward była od niego niższa zaledwie o pół głowy.

Pomyślał z zadowoleniem, że pierwszy krok został zrobiony. Co prawda panna Heyward zgodziła się tylko na kolację, ale kto wie, może uda mu się to pierwsze skromne zwycięstwo przekuć na większe, czyli tydzień wspólnych uciech w Norfolkshire. Jeśli nie, to trudno, pojedzie na święta do Conway Hall, żeby spotkać swój los w postaci tłustej lady Sarah Plunkett o twarzy fretki.

Pokój był duży, z belkowanym sufitem i wielkim kominkiem, w którym wesoło trzaskał ogień. Na środku stał stół, nakryty śnieżnobiałym, wykrochmalonym obrusem. Migotliwe światło świec, wetkniętych do cynowego świecznika, ślizgało się po chińskiej porcelanie i kryształach.

Julian odebrał od Verity płaszcz. Odwróciła się bez słowa, podeszła do kominka i wyciągnęła ręce ku płomieniom. Była zdenerwowana, jak chyba jeszcze nigdy dotąd, na pewno bardziej niż podczas pierwszego występu. Albo może i nie bardziej, tylko teraz było to całkiem inne zdenerwowanie.

- Wieczór jest bardzo chłodny, nie uważa pani? - zagadnął uprzejmie.

- Istotnie. - Przytaknęła, ale nie dlatego, że chłód dał jej się we znaki. Niewielką odległość, dzielącą teatr od tawerny, pokonała nie na piechotę, lecz we wspaniałym powozie wicehrabiego. Przez całą drogę żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Verity biła się z myślami. Nie wierzyła, że jest to zaproszenie tylko na kolację, lecz chodzi o wstępny rytuał. Dżentelmen zaprasza na kolację, a dziewczyna jest w pełni świadoma, że potem będzie musiała się odwdziżyć w wiadomy sposób. Jeśli tak, to wszystko wskazuje na to, że jeszcze przed końcem nocy Verity uczyni coś nieodwracalnego. Co będzie wtedy czuła? I jak będzie czuła się rano, kiedy już będzie po wszystkim?

- W zielonym jest pani do twarzy - powiedział wicehrabia. - Wielu damom brakuje inteligencji i dobrego smaku, nie potrafią dobrać kolorów, w których wyglądałyby korzystnie.

Miała na sobie suknię z ciemnozielonego jedwabiu. Bardzo ją lubiła, choć była już znoszona i żałośnie niemodna. Ale prosty krój - podwyższony stan i długie, wąskie rękawy - sprawiał, że w jakiś sposób zawsze była wytworna.

- Dziękuję, milordzie.

- Ma pani niezwykle kolor oczu. Myślę, że artyście niełatwo by było oddać to na płótnie. Musiałby mieszać z sobą wiele barw i sięgnąć po najciemniejszy pędzel.

Uśmiechnęła się do płasających w kominku płomieni. Mężczyźni komplementowali jej oczy nieustannie, ale żaden nie wyraził tego tak interesująco jak wicehrabia Folingsby.

- W moich żyłach płynie irlandzka krew, milordzie.

- Ach... Szmaragdowa Wyspa... Kraina rudowłosych, pełnych temperamentu piękności. Czy pani też jest ognista, panno Heyward? - Mam w sobie również krew angielską.

- Och, wielka szkoda. My, Anglicy, jesteśmy tacy przyziemni i flegmatyczni. Rozczarowała mnie pani.

- Czy to znaczy, że gustuje pan w ognistych kobietach, milordzie?

- Gustują ci, którzy lubią je poskramiać, natomiast ja nie mam określonych upodobań. Panno Heyward, zapraszam do stołu!

Usiedli. Gdy wicehrabia Folingsby nalewał wina do obu kieliszków, Verity po raz pierwszy miała sposobność przyjrzeć mu się dokładniej i skonstatować w duchu, że jest zatrwająco przystojny. Tak. Zatrwająco, chociaż sama nie wiedziała, skąd takie właśnie odczucie. Może stąd, że odznaczał się niewzruszoną pewnością siebie na pograniczu arogancji, co z kolei było powodem, że najchętniej znalazłaby się z powrotem w operze, w pokoju dla artystów.

Zjawili się kelnerzy. Przemykali się wokół stołu bezszelestnie, ustawiając półmiski.

- Za nową znajomość! - wznosił toast Julian, zaglądając w oczy Verity. - Oby rozwijała się pomyślnie!

Uśmiechnęła się, delikatnie stuknęli się kieliszkami. Wypiła łyk wina, z ulgą zauważając, że jej ręka nie drży. Co z tego, kiedy cała drżała w środku, zadręczana jedną myślą, a mianowicie czy przyjmując zaproszenie na kolację, przypieczętowała swój los.

Kelnerzy opuścili pokój, zamykając za sobą drzwi.

- Zapraszam, panno Heyward - powiedział Julian.

Spojrzała na płyty zimnego mięsa, gotowane jarzyny, pieczywo w koszyczku, paterę z owocami. Nagle poczuła, że jest bardzo głodna, ale nałożyła sobie skromną porcję, pewna, że i tak nie przełknie ani kęsa.

W milczeniu sięgnęła po bułeczkę. Przekroiła ją i zaczęła smarować masłem.

- Panno Heyward - zagadnął Julian - czy pani zawsze jest taka rozmowna?

Odłożyła nóż i powoli zwróciła twarz ku wicehrabiemu. Potrafiła prowadzić salonową konwersację, przecież tego uczono wszystkie panny z jej sfery, nie miała jednak pojęcia, jakie tematy byłyby stosowne w tych właśnie okolicznościach. Nigdy jeszcze nie jadła kolacji sam na sam z mężczyzną, a jeśli zdarzyło jej się gawędzić z dżentelmenem, to tylko pod okiem przyzwoitki i nigdy dłużej niż pół godziny.

- A na jaki temat chciałby pan porozmawiać, milordzie?

Uśmiechnął się.

- Może... hm... o kapeluszach? - Albo o klejnotach?

Czyli nie miał dobrego mniemania o inteligencji kobiet. A może dzielił je na kategorie i ją zaliczył do tej pozbawionej rozumu?

- To pana znudzi, jak mniemam... - stwierdziła spokojnie, ugryzła kawałek bułki - Więc o czym tak naprawdę chciałby pan porozmawiać, milordzie?

Zdawał się jeszcze bardziej rozbawiony.

- O pani - powiedział bez wahania. - Proszę opowiedzieć mi o sobie. Zacznijmy od pani wymowy. Za nic nie potrafię odgadnąć, z jakich stron pani pochodzi. Czy mógłbym poznać ten sekret?

Niestety, z wymową był kłopot. Niełatwo było, wchodząc w skórę operowej tancerki, odrzucić poprawną wymowę i słownictwo, jakim posługują się osoby szlachetnie urodzone, które odebrały odpowiednie wychowanie.

- Mieszkałam w różnych miejscach, milordzie, i każde z nich musiało pozostawić ślad w mojej wymowie.

- Dlatego zapewne bierze pani lekcje dykcji!

- Oczywiście! - Skwapliwie pokiwała głową. - Nawet tancerka nie powinna każdym swym słowem krzywdzić języka angielskiego.

- Tak... A mógłbym się dowiedzieć, jakie są te różne miejsca, o których pani wspomniałaś Proszę opowiedzieć mi także o swojej rodzinie. Wcale nie musimy przeżuwać jedzenia w milczeniu.

Westchnęła w duchu. Jej życie przemieniło się w stek Kłamstw. Żyła w dwóch światach, w jednym musiała zatajać prawdę o drugim, co pociągało za sobą kolejne kłamstwa. Jak teraz, kiedy musi wymyślić całkiem fałszywą historię swego życia.

Dotąd zdążyła poznać tylko dwa miejsca na ziemi. Wioskę w Somersetshire, gdzie mieszkała przez dwadzieścia jeden lat, i Londyn, w którym przebywa od dwóch miesięcy. Na szczęście znalazła sposób, który być może pozwoli jej wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, a mianowicie zaczęła opowiadać o Irlandii, powtarzając historie zasłyszane w dzieciństwie od babki ze strony matki. Wspomniała też o mieście York, w którym jeden z jej sąsiadów mieszkał przez jakiś czas. Napomknęła również o kilku innych miejscach, o których kiedyś czytała, z gorącą nadzieją, że wicehrabia nie posiada dogłębnej wiedzy na ich temat. Poza tym stworzyła wyimaginowaną rodzinę. Ojca kowala, zmarłą przed pięcioma laty matkę o gołęmbim sercu, także trzech braci i trzy siostry, wszystkie znacznie młodsze niż Verity.

- A pani przyjechała do Londynu szukać szczęścia, pojmuję... Czy pani przedtem już gdzieś tańczyła?

- Och, naturalnie! Tańczę od kilku lat, milordzie. Ale... - Uśmiechnęła się, sięgnęła po gruszkę. - Ale wszystkie drogi prowadzą do Londynu. Czyż nie tak? - Oczywiście. I dzięki temu możemy zachwycać się występami takich znakomitych artystek jak pani, panno Heyward.

Zajęta była obieraniem gruszki, niestety nadzwyczaj soczystej, więc jej palce stały się mokre od soku.

- Skoro pani obrała już tę gruszkę - powiedział Julian z uśmiechem - zobligowana jest pani do zjedzenia. Marnowanie dobrej stawy to po prostu przestępstwo.

Podniosła połówkę gruszki do ust i nadgryzła. Kaskada soku prysnęła na talerz, kilka kropeł spłynęło po brodzie. Zakłopotana Verity sięgnęła po serwetkę, ale wicehrabia ją uprzedził. Wyciągnął rękę ponad stołem i palcem starł kroplę, która zamierzała spaść na suknię. Potem podniósł dłoń do ust i czubkiem języka dotknął owego palca.

Konsternacja Verity nie mogła być większa. Czuła, że jej policzki płoną, powietrza też zabrakło, jakby biegła pod górę co najmniej milę.

- Sama słodycz... - mruknął wicehrabia. Zerwała się z krzesła, na nieco chwiejnych nogach podszła do kominka i wyciągnęła ręce ku złocistym płomieniom. Jakby chciała je ogrzać, a tak naprawdę modliła się w duchu, żeby gorące płomienie zabrały z jej ciała ten żar, który nagle tam się pojawił.

Kątem oka dojrzała, że wicehrabia również wstał od stołu. Był teraz po drugiej stronie kominka, opierając rękę o gzyms. Pomyślała, że ta chwila w końcu nadeszła. Prędzej niż Verity się spodziewała. Teraz, zaraz padnie owo pytanie. O to co będzie po kolacji. Pytanie, na które trzeba odpowiedzieć, a ona nadal nie wiedziała, jaka będzie ta odpowiedź. A może już wiedziała? Może tylko oszukiwała siebie, że istnieje jeszcze możliwość wyboru?

Wicehrabia bez wątpienia oprócz tego gabinetu najął: już tu pokój...

- Panno Heyward! Jak pani zamierza spędzić tegoroczne święta?

Święta?! Do świąt jeszcze półtora tygodnia. Verity spędzi je oczywiście z matką i siostrą.

Będą to ich pierwsze święta z dala od rodzinnego domu, przyjaciół i sąsiadów, których znały przez całe życie. Ale przynajmniej mają siebie. Zdecydowały, że pozwolą sobie na luksus, czyli pieczoną gęś, i przygotowują skromne podarki. Święta Bożego Narodzenia dla Verity były to zawsze najcudowniejsze dni w roku. Najpiękniejsze, najbardziej podniosłe. Wtedy przecież w każdym odżywa nadzieja, każdy przypomina sobie, co w jego życiu jest najcenniejsze. Rodzina, miłość, bezinteresowne poświęcenie... Bezinteresowne poświęcenie.

- A więc jak pani spędza święta? - spytał ponownie Julian.

Jakoś nie bardzo chciała mu łąać, że na święta jedzie do tej licznej rodziny kowala z Somersetshire.

- Jeszcze nie wiem, milordzie.

- A ja wraz z przyjacielem i jego... damą jedziemy na tydzień do cichego ustronia w Norfolkshire. Może pani wybrałaby się z nami?

Ciche ustronie. Przyjaciel i jego dama. Oczywiście wiedziała doskonale, w jakim celu wicehrabia zaprasza ją do Norfolkshire. Jeśli się zgodzi, Rubikon zostanie przekroczony. Kobieta, która raz upadnie, nigdy już się nie podźwignie. Nie odzyska ani cnoty, ani czci.

Jeśli więc przyjmie to zaproszenie...

Po raz pierwszy w życiu podczas świąt byłaby z dala od domu, z dala od matki i Chastity.

Po to, żeby poświęcić samą siebie. Ile może być warte takie poświęcenie? Wicehrabia zdawał się czytać w jej myślach.

- Pięćset funtów, panno Heyward - powiedział półgłosem. - Za jeden tydzień.

Pięćset funtów?! Czują, że w jej gardle zrobiło się nieprawdopodobnie sucho. Czy on zdawał sobie sprawę, co dla niej znaczy pięćset funtów? Na pewno tak. Doskonale wiedział, że to pokusa nie do odparcia.

Tyle pieniędzy za jeden tydzień usług. Siedem nocy. Siedem, kiedy myśl o jednej była już nie do zniesienia! Ale jeśli przebrnie przez tę pierwszą, następne nie będą miały znaczenia.

Chastity znów powinien zbadać doktor. Potrzebne będą nowe leki. Siostra może umrzeć, jeśli nie zapewni się jej odpowiedniej kuracji. Jeśli tak się stanie, czy Verity potrafi dalej żyć ze świadomością, że mogła zdobyć pieniądze?

Bezinteresowne poświęcenie.

Uśmiechnęła się do złocistych płomieni.

- Byłoby mi bardzo miło, milordzie. - Zdumiała się, że te słowa wyszły jednak z jej ust. - O ile zapłaci mi pan z góry.

- Z góry? Hm... Może pójdziemy na kompromis. Potowa z góry, drugą połowę dostanie pani po powrocie. - Gdy skinęła głową, stwierdził z zadowoleniem: - Wspaniale! A teraz późna już pora. Pozwoli pani, że odwiozę ją do domu.

Czyli dziś jeszcze jej się upiekło... Miętkość kolan zmniejszyła się jakby o połowę, pomyślała jednak, że w gruncie rzeczy nie ma powodu do radości, bo gdyby tu zostali, za godzinę najgorsze miałyby już za sobą. Ten pierwszy raz. A tak musi czekać do wyjazdu do Norfolkshire.

Julian narzucił jej na ramiona płaszcz.

- Dziękuję, milordzie. Z przyjemnością wrócę już do domu. Czy zechciałby być pan tak uprzejmy i sprowadził mi dorożkę?

Położył ręce na ramionach Verity, odwrócił twarzą ku sobie i zapiął jej płaszcz. Kiedy skończył, spojrzał jej w oczy.

- Dorożkę, panno Heyward? Czy w domu czeka na panią ktoś, kto nie powinien mnie zobaczyć?

Jego insynuacja była jednoznaczna, lecz jakże adekwatna do sytuacji. Odwzajemniła uśmiech.

- Obiecałam panu jeden tydzień, milordzie, ale nie rozpoczyna się on dzisiaj...

- Nie, jeszcze nie. Zawołam dorożkę, będzie pani mogła rzecz całą zachować w tajemnicy. A na pożegnanie powiem tylko, że mam pewne przeczucia co do tegorocznych świąt. Będą bardziej interesujące niż zwykle.

- Mam nadzieję, że upłyną ciekawie. Starła się, żeby zabrzmiało to najbardziej lodowato. I pierwsza podążyła ku drzwiom.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy w szarości wyjątkowo ponurego popołudnia oczom Juliana ukazał się wreszcie domek myśliwski Bertranda Hollandera, wcale nie poczuł euforii. Nadal był znużony i zirytowany, choć stanowczo powinien mieć lepszy nastrój. Do świąt zaledwie dwa dni, a od wejścia do domku dzieliły go tylko chwile. Już niebawem, grzejąc się przed kominkiem i sącząc brandy Bertiego, będzie mógł szykować się na rozkosze, jakie czekają go tej nocy z tą śliczną dziewczyną. Trudno mu było jednak uwierzyć, że tegoroczne święta okażą się niczym niezmaconym pasmem przyjemności, a to z powodu ostatnich wydarzeń. Całą drogę z Londynu przebył wierzchem, mimo że w jego wygodnym powozie jechał tylko jeden pasażer. Tak to sobie wymyślił. On na rączym rumaku, dama w powozie, zerkająca na niego przez okno. Ta sytuacja na pewno wzbudzi w niej większe zainteresowanie jego osobą, on zaś, z dala od niej, nie będzie nadmiernie podekscytowany perspektywą wspólnej nocy. Wszystko było dobrze, ale tylko do południa, podczas krótkiej przerwy w podróży dla zmiany koni. Wtedy to panna Blanche Heyward zdenerwowała go. Więcej - rozdrażniła.

A chodziło o błahostkę. O garstkę złota.

Chciał jej to ofiarować podczas świąt. Może przesadził z tym podarkiem, w końcu zapłacił jej dobrze, ale święta to czas, kiedy wszyscy obdarowują się nawzajem, poza tym Julian czuł, że zatęskni jeszcze za Conway Hall, że brak mu będzie tamtych świąt, radosnych i celebrowanych. Dlatego stworzył sobie ich namiastkę i kupił pannie Heyward podarek. Pod wpływem impulsu zdecydował, że nie będzie czekał do Bożego Narodzenia. Da jej wcześniej, tutaj, w przytulnym saloniku w gospodzie, gdzie jedli obiad.

Panna Heyward przelotnie spojrzała na pudełeczko. Wcale nie wyciągnęła ręki, spytała tylko z tym swoim pełnym spokojem dostojeństwem, które uznał za jedną z jej najważniejszych cech:

- Przepraszam, milordzie, co to jest? - Proszę zajrzeć do środka, panno Heyward. To taki trochę przedwczesny podarek z okazji świąt.

- Nie musiał pan tego robić. - Spojrzała mu w oczy. - Wynagrodził mnie pan szczerze, milordzie, a ja... ja odpłacę się panu za to.

Jego ciało natychmiast zareagowało na te słowa, choć wcale nie był pewien, czy takie właśnie były intencje panny Heyward. I wtedy też poczuł pierwsze lekkie rozdrażnienie. Czy jej zależy na tym, żeby on, stojąc tak z wyciągniętą ręką, miał poczucie, że robi z siebie durnia? I miał tak stać, póki obiad nie wystygnie? W końcu niespiesznie wyciągnęła rękę,

odebrała od niego pudełeczko i otworzyła. Obserwował ją niemal z niepokojem. Bo może jednak popełnił błąd, nie decydując się na rubiny albo szmaragdy? Z jakichś niejasnych powodów chciał jednak uniknąć jaskrawego blasku drogich kamieni.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu spoglądała na zawartość pudełeczka.

- To gwiazda betlejemska - powiedziała w końcu.

Wcale tej gwiazdki na złotym łańcuszku nie skojarzył z gwiazdą betlejemską, ale określenie panny Heyward wydało mu się całkiem trafne.

- Tak - przyznał zgodnie. - Czy podoba się pani?

Nadal wpatrywała się w wisiorek. Sprawiała wrażenie, jakby zapomniała o wicehrabim, o całym otaczającym ją świecie.

- To symbol nadziei - oświadczyła po chwili z wielką powagą. - Gwiazda przewodnia dla wszystkich, którzy szukają sensu swego życia, którzy chcą osiąść mądrość. A tego nie można kupić za pieniądze.

Wielki Boże! Julianowi odjęło mowę. Panna Heyward zaś podniosła głowę i mówiła dalej, wpatrując się w niego tymi swoimi wspaniałymi szmaragdowymi oczami:

- To nie jest stosowny podarek od człowieka takiego jak pan dla kogoś takiego jak ja.

Uniósł brwi, próbując ukryć swój gniew. Takiego jak on? Co ona insynuuje?

- Czy mam to rozumieć, panno Heyward, że podarek nie podoba się pani? - Starał się, aby w jego głosie słychać było przede wszystkim zdumienie. - Tak, być może mój służący powinien był wybrać bransoletkę wysadzaną diamentami. Powiem mu, że ma okropny gust, a pani zgadza się z moją opinią.

Przez kilka kolejnych chwil wciąż wpatrywała się w niego. Nie okazała gniewu, a jej słowa bardzo go zdumiały:

- Proszę wybaczyć, milordzie. Zraniłam pana. To bardzo piękny klejnot, ma pan znakomity gust. Dziękuję.

Zamknęła pudełeczko i schowała do torebki. Posiłek dokończyli w milczeniu. Potem Julian znów dosiadł konia, panna Heyward nadal zażywała komfortu samotności w wygodnym powozie. Przez dalszą drogę wicehrabia przeżuwał swoją irytację. Co ona, u diabła, miała na myśli, mówiąc, że nie jest to stosowny podarek od takiego człowieka jak on?! Jak śmiała! Bo dlaczego niby miałyby to być niestosowne, nawet zakładając, że ta złota gwiazdka jest gwiazdą betlejemską? - Gwiazdą, która ponoć jest symbolem nadziei, jak powiedziała, znakiem dla tych, którzy chcą osiąść mądrość, pojąć sens swego życia.

Co za brednie!

Tych trzech mędrców z opowieści biblijnej - o ile w ogóle istnieli, o ile istotnie byli mądrzy i jeśli naprawdę było ich trzech - czy rzeczywiście dosiedli tych swoich wielbłądów i ściskając w rękach podarki, ruszyli przez pustynię w nadziei, że posiadają jeszcze więcej mądrości? Bardziej prawdopodobna wydaje się inna wersja. Na przykład taka, że uciekali przed czułymi krewnymi, którzy próbowali ożenić ich z biblijnymi ekwiwalentami córki Plunkettów! Albo chcieli znaleźć coś, co by zadowoliło ich otepiałe już zmysły.

Poza tym wszyscy trzej musieli być obrzydliwie bogaci, skoro zdecydowali się na tak daleką podróż, nie bojąc się, że zabraknie im pieniędzy. A może przypadkiem odkryli coś bardziej cenniego niż złoto? Mieli też z sobą kadzidło i mirrę. Ale czy kadzidło i mirra to naprawdę coś tak nadzwyczajnego?

No cóż, on nie był żadnym mędrcom, ale też wyruszył w podróż ze swoją patetyczną garstką złota. Wyruszył z nadzieją, że u celu podróży znajdzie zaspokojenie swoich zmysłów. Niczego przecież więcej nie pragnął. Kilku miłych dni w towarzystwie Bertiego i kilku upojnych nocy w towarzystwie Blanche. Do diabła z nadzieją, mądrością i sensem życia! I tak już wiedział, w którą stronę za tydzień poprowadzi go los. Ożeni się z tłustą lady i płodziec będzie potomstwo, póki, jak mówi stare powiedzonko, w każdym kątku nie będzie po dzieciątku. A potem będzie sobie żyć godnie jako szanowany przez wszystkich pełen cnót dżentelmen.

Spojrzał w niebo. Ciężkie chmury zapowiadały śnieg, będą więc mieli białe Boże Narodzenie. A w Conway Hall wszystkie dzieci - wszystkie bez wyjątku, od lat dwóch do osiemdziesięciu - będą patrzeć w niebo i planować jazdę na sankach, bitwę na śnieżki, lepienie bałwana i jazdę na łyżwach...

Niestety, zamiast do Conway Hall przyjechał do domku myśliwskiego Bertiego. Ów domek wcale nie wyglądał jak skromny domek, raczej przypominał niewielki dwór. Na drogich gości czekano, świadczyły o tym światła w oknach i smugi dymu, który unosił się nad kominami.

Zeskoczył z konia i skrzywił się, ponieważ paskudnie zeszywniał po długiej jeździe. Niecierpliwym gestem powstrzymał lokaja, który zamierzał otworzyć drzwi powozu i spuścić schodki. Jego lordowska mość uczynił to osobiście, po czym wyciągnął rękę, by pomóc pani przy wysiadaniu z powozu. Panna Heyward złożyła dłoń w jego dłoni i zstąpiła na ziemię. Wcale nie wyglądała na rajskiego ptaszka, którego udało mu się zwabić na wieś. Ubrana była bardzo skromnie, w szarą wełnianą suknię, długi szary płaszcz, kapelusz i czarne rękawiczki. Jej włosy - te wspaniale długie tycjanowskie loki - ściągnięte były bezlitośnie w tył i prawie

całkowicie ukryte pod kapeluszem, skromnym i praktycznym. Na twarzy ani rózu czy szminki, ale ta twarz i bez tego była śliczna.

Panna Heyward wyglądała bardziej na damę niż na ładacznicę.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała, spoglądając z ciekawością na dom.

- Mam nadzieję, że nie zmarła pani podczas podróży? - Ależ skąd! Uśmiechnęła się do niego miło i zgodnie skierowali swe kroki ku Bertiemu, który, zacierając ręce, czekał na nich w otwartych drzwiach. A dla wicehrabiego jedna sprawa stała się oczywista. Z jeszcze większą radością odliczał godziny dzielące go od nocy, bo było coś nadzwyczaj intrygującego w pannie Blanche Heyward, nie tylko tancerce operowej, lecz także wielkim autorytecie w kwestii gwiazdy betlejemskiej.

Przez jakiś czas Verity czuła się przede wszystkim skrępowana. Bo i cóż to niby za domek, myślała, rozglądając się po przestronnych, przytulnych wnętrzach, wypełnionych drogimi sprzętami. Zbyt tu bogato jak na lokum, z którego dżentelmen korzysta w sezonie łowieckim. Chociaż z drugiej strony było to również gniazdko, w którym ów dżentelmen zażywa rozkoszy ze swoją kochanką.

Ta ostatnia myśl wprawiała ją w konsternację, ponieważ pan Hollander zdawał się dżentelmenem bardzo sympatycznym. Był również przystojny, miał miłą, pogodną twarz, ubrany był ze spokojną elegancją. Powitał ich serdecznie i prosił, by czuli się u niego jak u siebie w domu i nie zawracali sobie głowy nadchodzącymi świętami.

Verity powitał pełnym galanterii pocałunkiem w dłoń, po czym wsunął jej rękę pod ramię i wprowadził do domu. Po drodze zobowiązywał ją usilnie, żeby bez skrępowania dawała wyraz swoim potrzebom, a on dołoży wszelkich starań, żeby je zaspokoić.

Coś jednak w jego zachowaniu - może ta zbytnia poufałość - świadczyło, że traktuje ją nie jak damę, a kobietę z zupełnie innej sfery. Na przykład ta otwartość spojrzenia, którym omiółł ją od stóp do głów i uśmiechnął się znacząco do wicehrabiego. To spojrzenie nie było tylko i wyłącznie zuchwałe. Była w nim przede wszystkim aprobata. Lecz na damę z pewnością by tak nie patrzył. I nie zwracał się do niej po imieniu.

- Zapraszam panią do salonu, Blanche. Ogrzeje się pani przy kominku i pozna moją Debbie.

Debbie, kochanka pana Hollandera, była jasnowłosą kobietką, pulchną i łagodną. Jej wymowa zdradzała, że pochodzi z Yorkshire. Na widok wchodzących nie podniosła się z krzesła, na którym spoczywała w wygodnej pozie, uśmiechnęła się tylko szeroko i leniwie.

- Proszę, niech pani siada przy mnie, Blanche. - Wskazała krzesło obok. - Bertie, kochanie, każ podać herbatę! Och, Jule, zmarzłeś na kość! Przysuń krzesło do kominka, chyba że chcesz usiąść na tym i wziąć Blanche na kolana!

Mówiła tak, było nie było, do wicehrabiego Folingsby'ego! Wstrząśnięta tym faktem Verity siadła sztywno na krześle. Zdjęła kapelusz i rękawiczki, niestety, w pobliżu nie było żadnego służącego, który zaniósłby je do holu. Spojrzała więc na swego protektora, był jednak zajęty. Podnosił właśnie do ust białą rączkę Debbie.

- Uroczą, jak zwykle - powiedział z uśmiechem. - Bertie, mam nadzieję, że nie będę musiał pić herbaty?

Przyjaciół wybuchnął śmiechem i ruszył do kredensu, gdzie za szkłem lśniły rzędy karafek, kieliszków i szklaneczek. Verity z ulgą zarejestrowała wzrokiem, że wicehrabia jednak podsunął sobie krzesło dla siebie. Pan Hollander natomiast, kiedy wrócił z napełnionymi trunkiem szklaneczkami, spojrzał na Debbie znacząco. Podniosła się więc z ciężkim westchnieniem, na krześle usiadł pan Hollander, a Debbie opadła mu na kolana.

Verity szybko nakazała sobie w duchu dystans. Nie powinna być niczym zgorszona, nie powinna najmniejszym nawet gestem okazywać dezaprobaty. Sytuacja jest jasna. W tym salonie jest dwóch dżentelmenów ze swoimi kochankami. Jedna z tych kochanek to Verity, sama się na to zgodziła. W domu, w jednej z szuflad leży ukryte głęboko dwieście funtów. Część kwoty, zapłaconej z góry, została już wydana na wizytę Chastity u doktora i na nowe leki, niewielka zaś sumka spoczywa w torebce Verity. Nie ma więc możliwości odwrotu, nawet gdyby bardzo tego chciała, ponieważ zwrócenie wicehrabiemu całej otrzymanej kwoty nie wchodzi w grę.

Pozostaje jej tylko poddać się swemu losowi. I tak się stanie, Verity dotrzyma umowy. Spędzi tu cały tydzień i pozwoli wicehrabiemu Folingsby'emu, żeby to zrobił. To coś, o czym miała pojęcie bardzo mgliste, czy raczej w ogóle nie miała pojęcia. Niestety, w tej sytuacji nie mogła podpytać o to matkę, co uczyniłaby zapewne, gdyby wychodziła za mąż i czekała ją noc poślubna.

Swoją rolę tutaj spełni od a do z, ale też i dotrzyma obietnicy, danej sobie przed wyjazdem. Ze względu na wymyśloną rodzinę kowala z Somersetshire, mówić będzie z charakterystycznym akcentem. Na tym jednak koniec. Nie ma zamiaru udawać głupiej, wulgarnej i rozpasanej dziewczyny, czyli takiej, jaką zgodnie z wyobrażeniem Verity powinna być kochanka. Dlatego zabrała z sobą skromne ubrania, włosy uczesała tak, jak to czyniła zwykle. Właśnie skromnie.

Matce i Chastity powiedziała, że lady Coleman zamierza spędzić święta na wsi i prosiła, żeby Verity dotrzymywała jej towarzystwa. Powiedziała także, że tym razem jej zarobek będzie imponujący, choć kwoty pięciuset funtów nie wymieniła. Matka i siostra bardzo się zmartwiły, że Verity nie będzie z nimi podczas świąt. Wylała razem z nimi kilka łez, po czym starały się dodać sobie otuchy, pocieszając się, że dzięki temu wyjazdowi Verity będzie miała w tym roku święta niezwykle.

- Rozgrzała się już pani, panno Blanche? - spytał wicehrabia, zmuszając nieobecny duchem Verity, by wróciła do rzeczywistości. Ujął jej dłoń i spytał półgłosem: - Może powinna pani jednak usiąść mi na kolanach i przytulić się do mnie?

- Sądzę, milordzie, że ogień w kominku i gorąca herbata wystarczą. - Zerknęła na służącego, który właśnie wchodził do salonu, niosąc wszelkie utensylia do picia herbaty. Potem wyczarowała na swej twarzy nadzwyczaj miły uśmiech i zagadnęła do pana domu: - Panie Hollander, w Norfolkshire jestem po raz pierwszy. Czy mógłby pan mi coś bliższego opowiedzieć o tych stronach? Czym charakteryzuje się tutejsza przyroda? Czy są tu jakieś miejsca związane z ważnymi wydarzeniami w historii naszego królestwa? Jakież stare budowle, które warto obejrzeć?

Postanowiła, że już ani minuty dłużej nie będzie niemową. Kłopot tylko, czy zasugerowane przez nią tematy pasują do tancerki operowej i kochanki dżentelmena.

- Bertie, skarbie! - zaszczebotała Debbie. - Możesz opowiedzieć Blanche o pięknym leśnym parku za domem. I o tej huśtawce, zawieszanej na drzewie...

Verity nie chodziło oczywiście o huśtawki zawieszane na drzewach, ale rozmowa i tak została przerwana, ponieważ służący zaczął podawać herbatę.

Wicehrabia puścił jej rękę.

- Na razie, Blanche - mruknął. - Potem poproszę o coś więcej. Mnie nie wystarczy tylko ogień w kominku i herbata...

W obszernym domu nie brakowało pokoi, ale Bertie Julianowi i pannie Heyward przydzielił, naturalnie, tylko jedną sypialnię. Był to spory pokój z widokiem na ów niewielki leśny park za domem. W kominku paliły się grube polana, jaśniały również świece w dużym świeczniku, oświetlając wielkie łoże, które królowało na środku pokoju. Ciężkie aksamitne zasłony pod baldachimem były rozsunięte, narzuta zdjęta.

Do tego to pokoju wkroczył Julian, prowadząc pannę Heyward pod rękę. Był zadowolony, że tej kobiety jeszcze nie miał. Z tego to przecież powodu od tygodnia odczuwał przyjemne podekscytowanie, które tego wieczoru osiągnęło swoje crescendo. Oczekiwanie na rozkosze z kobietą, która wcale nie wyglądała na rozpustnicę. Przeciwnie, w zielonej

jedwabnej sukni, tej samej, którą miała na sobie podczas kolacji w tawernie, wyglądała po prostu skromnie. Tak samo skromne i schludne było jej uczesanie, wszystko to jednak razem nie było pozbawione pewnego wdzięku. Poza tym kobieta ta zachowywała się jak prawdziwa dama, podtrzymując towarzyską konwersację zarówno podczas obiadu, jak i potem, kiedy zasiedli w bawialni. Dzielili się spostrzeżeniami z krótkiej podróży, zainicjowała pogawędkę o świętach, o śpiewaniu kolęd i pięknie przystrojonym z tej okazji Londynie. Nie obyło się też bez rozmowy na tematy poważne, o tym, co działo się teraz w Wiedniu, czyli o rozmowach pokojowych po pokonaniu Napoleona Bonaparte i uwięzieniu go na Elbie.

W pewnej chwili Blanche zagadnęła Bertiego, jak będą wyglądać święta tutaj, w domku myśliwskim w Norfolkshire. Bertie najpierw zdziwił się, potem zmieszał. Było oczywiste, że w planach świątecznych uwzględnił tylko igraszki z ładniutką, pulchną Debbie.

Julian skromny wygląd Blanche i maniery damy uznał w sumie za bardzo podniecające. Był zadowolony, kiedy wspólny wieczór się skończył i wreszcie mógł się schronić z panną Heyward w zaciszu sypialni.

- Chodź do mnie, Blanche. Stała przed kominkiem, wyciągając ręce ku płomieniom. Kiedy usłyszała jego słowa, spojrzała tylko przez ramię i uśmiechnęła się. Pomyślał, że ta kobieta jest inteligentna. Zdawała sobie sprawę, że nadgorliwość z jej strony przytłumi jego żądzę. Chociaż, to również brał pod uwagę, wcale nie była taka chętna jak on. Dla niej to po prostu płatne zajęcie.

Nie szkodzi. Zaraz poczuje ochotę.

Podszedł do niej i objął rękoma szczupłą kibić. Przyciągnął Blanche do siebie tak blisko, że ich ciała zetknęły się z sobą. Teraz wyczuwał doskonale smukłość długich nóg i płaskość brzucha. Nic dziwnego, że jego oddech przyśpieszył.

- Nareszcie - powiedział.

- Tak... Nachylił się i złożył na jej ustach pocałunek.

Nie wypadł zbyt namiętnie, ponieważ panna Heyward usta miała zamknięte. Dlatego zabrał się ponownie za całowanie, usiłując czubkiem języka rozchylić jej wargi.

Wtedy szarpnęła głową w tył.

- Co pan robi? - spytała zdławionym głosem.

Milczał, zaskoczony pytaniem tak nedorzecznym, zanim jednak zdążył sformułować jakąś odpowiedź, Blanche uśmiechnęła się i położyła mu dłonie na ramionach.

- Proszę wybaczyć, milordzie. Jak na mnie, wszystko odbywa się nieco pośpiesznie.

Przysunęła swoje usta do jego ust i rozchyliła wargi. Drżące, niepewne, niby śmiałe, a zalężnione.

Do diaska! Co się dzieje z tą kobietą?!

Nagle go zmroziło. Już zaczął się domyślać! Najpierw zmroziło, potem rozjuszyło aż tak bardzo, że objął mocno Blanche i zaczął znów całować gwałtownie, namiętnie, bez cienia subtelności. Nie próbowała go odepchnąć, czuł jednak, jak sztywnieje, a po kilku sekundach robi się niemal bezwładna.

Poderwał głowę.

- Jak wrażenia, panno Heyward? - spytał, wpatrując się w nią spod półprzymkniętych powiek. - Podobał się pani pierwszy pocałunek?

Zbladła.

- Mój pierwszy...

- Tak. Jestem tego pewien, a ponadto podejrzewam, że pani jest dziewicą. Powie mi pani, panno Heyward, czy mam to sprawdzić?

Jej twarz stała się jeszcze bledsza, ale wcale nie ociągała się z odpowiedzią.

- Nawet największe ladacznice, o najbardziej stwardniałych sercach, milordzie, były kiedyś niewinne. Dla każdego zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz. Proszę się nie obawiać, nie będę się wzdragać, płakać czy sprzeciwiać pańskiej woli. Tak uzgodniliśmy, milordzie. Zapłacił mi pan niemało, a ja zrobię wszystko, czego pan ode mnie oczekuje.

- Naprawdę? Podeszedł do kominka, kopnął polano głębiej w płomienie i przez dobrą chwilę nie odrywał oczu od snopów iskier.

- Nie zapłaciłem za to, żeby przyglądać się cierpieniu, panno Heyward.

- Nigdy nie zachowywałam się jak męczennica i z pewnością nie będę. Przyznaję, że na pańską propozycję przystałam pod wpływem impulsu, ale to nieistotne. Przepraszam, że teraz okazałam się trochę... niezręczna, ale podczas tej nocy nauczę się wszystkiego, przekona się pan.

Czy nie zdawała sobie sprawy, że każde jej zdanie było jak kubel lodowatej wody? - Ogarnął go gniew. Więcej, wściekłość. Nie tylko z powodu Blanche. Ona w końcu miała coś na swoje usprawiedliwienie. Nie przechwalała się swoim doświadczeniem, a on nie pytał. Dlatego wściekły był przede wszystkim na siebie za swoje kręactwa. Tym niech zajmuje się Bertie. Natomiast on powinien pojechać do Conway Hall. Niestety, przed przystąpieniem do wypełniania obowiązków wobec rodziny zapragnął po raz ostatni odrobiny szaleństwa. I teraz ma za swoje.

Czy tamci trzej mędracy, podążając przez bezludną, bezlitosną pustynię, też czynili sobie wyrzuty i zwaliли siebie głupcami?

- Nie chcę mieć nic do czynienia z dziewicami, panno Heyward.

- Ach! Czyli nie chce pan zapoznać się z tym, co kupiłam.

Uniósł brwi, patrzył na nią przez chwilę. Ta kobieta nie tylko jest inteligentna, ale i nadzwyczaj rezolutna.

Znów odwrócił twarz ku ogniu.

- Panno Heyward, czy pani potrzebuje tych pieniędzy ze względów osobistych? Czy pani rodzina jest w potrzebie?

Natychmiast pożałował swego pytania. Przecież wcale nie chciał tego wiedzieć, wcale nie chciał bliżej poznawać panny Heyward. Chciał tylko jednego. Ostatniej kawalerskiej przyjemności. Kilku dni słodkich uciech z piękną, doświadczoną i chętną kobietą.

- Powiem tylko, że zależy mi na zarobku, milordzie. I jestem zdecydowana dać panu to, za co pan zapłacił.

- O ile sobie przypominam, uzgodniliśmy, że wspólnie spędzimy jeden tydzień. O żadnych innych szczegółach nie było mowy. Dlatego proponuję, żebyśmy pozostali przy tym wspólnym tygodniu. Jest już za późno, żeby inaczej planować święta, a poza tym na niebie zbierają się chmury. Zapewne będzie padać śnieg, z wyjazdem byłoby ciężko, więc spróbujmy ten tydzień wykorzystać jak najlepiej. Święta tutaj prawdopodobnie będą kiepskie. Chociaż kto wie? Może będzie inaczej. Niewykluczone, że jednak udzielę pani kilku lekcji całowania i pani następny... hm... chlebowdawca... odkryje prawdę o pani nieco później niż ja. Reasumując, zostajemy. A teraz proszę kłaść się do łóżka. Obok jest garderoba, nic więc nie będzie uwłaczać pani skromności.

- A pani Gdzie pan będzie spał? Spojrzył w dół, na podłogę, na szczęście zasłaną grubym dywanem.

- Tutaj. Wolałbym, żeby Bertie nie dowiedział się, że tej nocy nie spędzamy na zmysłowych rozkoszach. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

- W takim razie bardzo proszę, niech pan zajmie łóżko, milordzie. Ja będę spała na podłodze.

Rozbroiła go, gniew minął jak ręką odjął.

- Mówiłem już pani, Blanche, że nie życzę sobie być świadkiem męczeństwa! Proszę, niech pani kładzie się do łóżka.

Kiedy z powrotem ukazała się w drzwiach garderoby, odziana była w długą, skromną panięńską koszulę z białej flaneli. Głowę trzymała wysoko, choć policzki pokrywał purpurowy rumieniec. Gęszcz tycjanowskich włosów spływał po plecach. Julian zdążył już zrobić sobie nieopodal kominka prowizoryczne postanie z kilku koców, które znalazł w

szafie. I jednej poduszki, którą wziął sobie z łóżka. Na Verity spojrzał tylko przelotnie. Począł, aż położy się, wtedy zdmuchnął świecę.

- Dobranoc - powiedział, podążając ku swemu pościeliu.

- Dobranoc, milordzie.

Niebywałe! Jakaż wymyślna kara za wszystkie grzechy, pomyślał, kiedy jego ciało zetknęło się z twardą podłogą. I po co właściwie to robi? Przecież ona wcale się nie opiera, przeciwnie, zdecydowana jest wywiązać się ze swoich zobowiązań, za które zapłacił sownie. Poza tym Bóg tylko jeden wiedział, jak bardzo wicehrabia Folingsoy pożądał tej kobiety. Ale poniechał jej.

Powodowała nim nie tylko niechęć do pozbawiania dziewczyny niewinności. I nie chodziło o to, że pojawi się krew, co było nieuniknione. Po prostu naprawdę nie lubił patrzeć, jak ktoś cierpi, a już na pewno nie z jego powodu.

„Proszę się nie obawiać, nie będę się wzdragać, płakać czy sprzeciwiać pańskiej woli. Tak uzgodniliśmy, milordzie”.

Trudno byłoby się doszukać słów mniej erotycznych. Czyli po prostu - martyrologia! Bo jeśli by ona pożądała go choć odrobinę, to co innego, nawet gdyby była przy tym trochę nerwowa...

Panna Blanche Heyward stanowczo nie jest typową tancerką operową. A on, zamiast zażywać słodkich uciech, zdaje się wstępować na drogę męczenników...

Zaiste, szykują się piękne święta! Znow pomyślał melancholijnie o Conway Hall, o wszystkim, czego będzie mu brakować i jutro, i pojutrze. Nawet córka Plunkettów już nie wydawała mu się tak bardzo niepociągająca...

Potem powieki zrobiły się ciężkie i ku swemu zaskoczeniu zaczął pogrążyć się we śnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tej nocy Verity wcale nie spała dobrze, jednak kiedy zbudziła się rankiem, kiedy otworzyła oczy i spojrzała w szarzejącą ciemność za firankami, pomyślała, jaki to cud, że w ogóle udało jej się zasnąć.

Od strony kominka słychać było głęboki, miarowy oddech. Nasłuchiwała przez chwilę, ale spoza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Czy to znaczy, że nikt jeszcze nie powstał z pościeli? Chyba nikt. Pan Hollander i Debbie zapewne odsypiają nocne igraszki.

Ta noc całkiem niespodzianie okazała się nieco inna, bo tego ranka Verity powinna być już kobietą upadłą. Jednak wicehrabia pomylił się, jako że nie miałyby to nic wspólnego z martyrologią. Świadczyły o tym najświeższe wspomnienia Verity o tym, jak podniecające jest męskie ciało, gdy przycisnie się do kobiecego ciała, i o tym, jak cudownie jest czuć na swoich ustach rozchylone męskie wargi. Powinna być zakłopotana, czuć odrazę, wicehrabia wykonał przecież czynność szalenie intymną, lecz wcale tak nie było. Mało tego, kiedy ogłosił poniechanie dalszych działań tego rodzaju, poczuła rozczarowanie. Przyznawała się do tego uczucie.

Poza tym jak ona zarobi tych swoich pięćset funtów, skoro wicehrabia Folingsby preferuje spanie na podłodze?

I wszystko to dzieje się tuż przed świętami... Jakież to przygnębiające...

Nagle coś za firankami zwróciło jej uwagę. Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła z łóżka i nie zważając na panujący w pokoju ziąb, podbiegła do okna.

Och!

- Och! - powtórzyła głośno, odsuwając na bok firankę. - Milordzie, proszę, bardzo proszę! Niech pan wstanie i popatrzy!

Julian poruszył głową, otworzył oczy i, choć nieogolony i rozczochrany, wyglądał uroczo.

- Co się dzieje? Która godzina? - odezwał się opryskliwym tonem.

- Nie wiem! Ale proszę, niechże pan tu podejdzie!

Uczynił to bez entuzjazmu. Stał obok niej, spojrzał i wygłosił:

- I to z tego powodu postawiła mnie pani na nogi? Mówiłem przecież wczoraj, że dziś będzie padać śnieg.

- Tak, tak! Ale musi pan przyznać, że to widok jak z bajki!

Nie, nie raczył po raz drugi spojrzeć na biały puch pokrywający ziemię i bezlistne gałęzie drzew. Wpatrywał się w nią, w Verity.

- Pani zawsze jest taka radosna i świeża o poranku? Odrażające!

Roześmiała się.

- Nie, milordzie, ale zawsze, gdy nadchodzą święta Bożego Narodzenia i sypnie śniegiem. Dwa cudowne wydarzenia w jednym czasie. Zna pan. inne podobne przypadki?

- Owszem. Jestem zeszywniały, obolały i mam do dyspozycji wygodne, ciepłe łóżko.

- I ma pan! Proszę się położyć, łóżko jest wolne. Ja już wstaję.

- Już pani wstaje? Niedobrze. Bertie nie daruje sobie złośliwych uwag. Będzie śmiał się ze mnie że nie potrafiłem zająć się panią należycie.

- Proszę się nie obawiać. Jestem pewna, że pan Hollander pozostanie w swoim pokoju co najmniej do południa, więc nikt nie zauważy, że jestem już na nogach. A pan niech kładzie się do łóżka i porządnie się wyśpi.

Pomknęła do garderoby i ubrała się ciepło, wyszczotkowała włosy i schowała pod kapeluszem. Kiedy wróciła do pokoju, zastała wicehrabiego w łóżku, dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą sama leżała. Pogrążony był w głębokim śnie.

Na chwilę znieruchomiała, niezdolna oderwać od niego oczu, zdumiona przy tym zdrożną myślą, której nijak pozbyć się nie umiała. Mianowicie jak by to było, gdyby wczoraj wieczorem nie była taka szorstka i powściągliwa...

Och, zamiast występnyymi marzeniami, lepiej zająć głowę realizacją swojego pomysłu. Pan Hollander zapewne nie poczynił żadnych przygotowań do świąt. Tych kilka dni zamierza, z niewielkimi przerwami, spędzić w łóżku ze swoją słodką Debbie. Tylko tego pragnie.

Ciekawe, co powie na dodatkowe rozrywki, których będzie moc. Bo skoro nie istnieje możliwość zarobienia pięciuset funtów w wiadomy sposób, Verity postanowiła okazać się użyteczna w sposób nieco inny.

Dwóch stangretów, lokaj, parobek, kucharka i służący pana Hollandera, poza tym jeszcze cztery indywidua, które od biedy można by zidentyfikować jako kamerdynera, gospodynię i dwie pokojówki. Tyle osób spożywało śniadanie w suterenie, w pokoju dla służby. Na widok Verity część z nich, ale nie wszyscy, poderwała się z krzesel. Było oczywiste, że jeszcze nie ustalili, czy traktować ją jak damę, czy nie. Tylko spojrzenie kucharki było jednoznaczne. Ona już zaliczyła Verity do tej drugiej kategorii.

- Proszę nie wstawać - powiedziała Verity z miłym uśmiechem - i nie przerywać sobie w jedzeniu. Bez wątpienia czeka państwa ciężki dzień. - Wyraz ich twarzy powiedział jej, że

nie wiedzą, dlaczego ten właśnie dzień ma być ciężki. - Chodzi o przygotowania do świąt, oczywiście - wyjaśniła.

To również nimi nie wstrząsnęło.

- Pan Hollander nie życzy sobie żadnego zamieszania z tego powodu - oświadczyła domniemana gospodyni. - Powiedział tylko, że jedzenia nie może zabraknąć i w kominkach ma być zawsze napalone, to wszystko.

- To już coś! - oświadczyła różnym głosem Verity. - Państwo pozwolą, że zjem z nimi śniadanie? Och, proszę nie wstawać! - dodała, choć nikt nie ruszył się z miejsca. - Sama sobie poradzę. - Przysunęła krzesło, rozsiadła się i dalej wykladała swoją kwestię: - Pan Hollander zostawił państwu wolną rękę, to dobrze, bo ja sądzę, że wszyscy na pewno pragniecie obchodzić Boże Narodzenie uroczyście, zgodnie z tradycją. Mam na myśli świąteczne potrawy, poncz, śpiewanie kolęd, podarki i udekorowanie domu ostrokrzewem oraz gałęziami sosny. Dzięki temu radośnie spędzimy te dni.

- Mogłabym upiec gęś - powiedziała kucharka. - Jak ja upiekę gęś, to nóż jest niepotrzebny. Nawet widelec będzie za ostry. Po prostu rozpływa się w ustach.

- Uwielbiam pieczoną gęś, uwielbiam - wtrąciła rozmarzonym głosem jedna z pokojówek. - Moja mama zawsze ją piekła na święta, o ile, naturalnie, udało nam się jakąś złapać. Ale nigdy nie była taka miękka, żeby można było ją kroić widelcem, pani Lyons...

- A gdybym jeszcze upiekła babeczki z bakaliami... - ciągnęła kucharka. - Wszystkie zostałyby zjedzone za jednym razem, wszystkie co do jednej!

- Och... - westchnęła melancholijnie Verity. - Już teraz ślinka napływa mi do ust, pani Lyons. Z jaką radością skosztowałabym choć jednej takiej babeczki!

- Niestety, nie mogę ich upiec - powiedziała pani Lyons. - Po prostu nie mam z czego.

- A nie można pójść po sprawunki? Kiedy tu jechałam, mijaliśmy wioskę, w której, jak mi się zdaje, jest kilka sklepów.

- Tak, ale nikt nie zechce tam pójść, skoro zaczął padać śnieg.

Verity uśmiechnęła się do parobka i obu stangretów. Cała trójka starannie unikała jej wzroku.

- Nikt? - powtórzyła. - Nikt tam się nie wybierze, nawet jeśli dzięki temu na stole pojawi się gęś, a także pyszne babeczki z bakaliami i mnóstwo innych smakołyków? A przyrządziłaby je pani Lyons, która, jak mi się wydaje, jest najlepszą kucharką w całym Norfolkshire...

- Myślę, że jestem niezłą kucharką - powiedziała pani Lyons skromnie.

- Poza tym w lasku za domem, o ile się nie mylę, rosną i sosny, i ostrokrzew. - Verity zerknęła na młodszą z pokojówek. - Święta nie mogą też obejść się bez jemioli, zawieszonych w najmniej spodziewanych miejscach, tuż nad głową osób najbardziej opornych, czyż nie tak?

Dziewczyna zarumieniła się, natomiast służący pana Hollandera poderwał głowę, jakby jemiola obudziła w nim całkiem szczególne zainteresowanie.

- Myślę, że jedną jemiolę można powiesić w tamtym korytarzyku, którym wychodzi się stąd na tylne schody - powiedziała Verity.

Pokojówki zachichotały, służący chrząknął, a Verity skonkludowała w duchu, że najtrudniejsze ma już za sobą. Teraz spokojnie mogła zająć się spożywaniem jajek i tostów, raczyć się kawą i grzać się w miłym ciepłe kuchennego pieca. Bo wszyscy połknęli już haczyk, mówili jeden przez drugiego, prześcigając się w pomysłach. Znalazło się nawet dwóch ochotników gotowych do wyprawy do wioski.

- Myślę, że ze wszystkim nie zdążycie się, państwo, uporać - powiedziała po dłuższej chwili. - Zbieranie gałęzi pozostawcie nam, to znaczy panu Hollanderowi, lordowi Folingsby'emu, panie Debbie i mnie.

Przy stole zapadła cisza, zdumione spojrzenia skierowały się ku Verity. Parobek zaśmiał się.

- Nie uda się pani wygonić wytwornych panów na dwór. Będą się bali o swoje trzewiki...

- Bloggs! - Kamerdyner spojrział na niego z przyganą. - Trochę więcej szacunku dla pana Hollandera!

Parobek nie wydawał się zbyt przejęty reprimendą, natomiast Verity rzekła pogodnie:

- Poradzę sobie. Wszyscy będziemy obchodzić święta, nie widzę więc powodu, by kogokolwiek wyłączać z przygotowań. Byłoby to niesprawiedliwe, czyż nie tak?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, Verity też, bo wyobraziła sobie, jak wicehrabia Folingsby swymi arystokratycznymi palcami obrywa gałązki ostrokrzewu. Teraz jednak niczego nieświadom śpi i pewnie będzie się wylegiwał do południa...

Oceniła go niesprawiedliwie. Wcale nie spał, mało tego, znajdował się tuż obok, w korytarzyku jeszcze nieudekorowanym jemiolą. Jakby Verity ściągnęła go swoimi myślami.

- O, tu pani jest, Blanche! - powiedział, wpatrując się w nią przez lornion. - A ja myślałem, że rozwinęła pani skrzydła i dokądś odleciała, bo przed domem na śniegu nie było żadnych śladów.

- Omawiamy przygotowania do świąt - oznajmiła z promiennym uśmiechem. - Wszyscy mają przydzielone zadania. Pan, milordzie, pan Hollander, Debbie i ja nazrywamy gałęzi do udekorowania domu.

- Naprawdę? - - spytał głosem jakby nieco słabszym. - A to czeka nas rzeczywiście wielka przyjemność...

Julian siedział sztywno na konarze starego dębu, jeszcze nie do końca uzmysławiając sobie, jakim cudem tu się znalazł. I w jeszcze większym stopniu nie uzmysławiając sobie, jakim cudem zajdzie na dół, unikając połamania nóg czy skręcenia karku. Blanche stała na dole z twarzą wzniesioną ku górze i szeroko rozpostartymi rękoma. Ubezpieczała go. Nieoceniona panna Heyward.

Przed nim, nieco poza zasięgiem ręki, pyszniła się na konarze dorodna jemiola. W dole, kilka jardów od drzewa, po kolana w śniegu i tylko w jednej rękawiczce, stał Bertie. Druga rękawiczka leżała porzucona obok. Z ust Bertiego wydobywały się słowa skargi tak dramatyczne, jakby został cięty co najmniej mieczem, tymczasem powodem jego cierpienia było ukłucie przez ostrokrzew. W palec, który Debbie obsypywała kojącymi pocałunkami.

Nieco bliżej domu, w miejscu osłoniętym przez drzewa i dlatego niezasypanym śniegiem, leżała niewielka sterta gałęzi sosny i ostrokrzewu. Żałośnie niewielka, zważywszy na to, że byli na dworze od ponad godziny i wcale się nie lenili, choć temperatura była niska, wiatr porywisty, a gęste chmury na niebie nie wysypały jeszcze na ziemię całego swego białego ładunku.

Julian wychylił się, żeby sięgnąć po jemiolę.

- Ostrożnie, milordzie! Ostrożnie! - zawołała Blanche. - Żeby tylko pan nie spadł!

Odchylił się z powrotem i spojrzał w dół. Policzki Blanche zarumienione były od mrozu, tak samo rozkosznie różowy był jej nosek.

- Czy ja śnię, panno Heyward? - spytał, starając się użyć swego najbardziej znudzonego, niedbałego tonu. - Czy to naprawdę pani, czy raczej srogi sierżant, który objął nad nami komendę? Najpierw rozkaz wymarszu z domu w taką śnieżycę, potem rozkaz drugi: wspiąć się na drzewo...

Zachichotała uroczo i zarazem nieco złośliwie.

- Niech się pan nie martwi, milordzie. Na wypadek, gdyby pan postradał życie, mam już gotowe epitafium: „Tu leży ten, który pożegnał się ze światem podczas dokonywania czynu szlachetnego”. Ładne, prawda?

Julian nie odpowiedział, tylko znów zabrał się do dzieła. Przesunął się w przód, zmienił nieco układ ciała i wymacał butem sęk, na którym oparł nogę, dzięki czemu mógł o

wiele dalej się wychylić. Wyciągnął rękę i... wiktoria! Dorodną jemiolę trzymał w garści. Niestety, na tym nie koniec, bo trzeba jeszcze zejść na dół. Zsuwanie się po pniu nie wydało mu się pociągające, dlatego zdecydował się na coś, co czynił w podobnej sytuacji w wieku chłopięcym.

Skoczył i wylądował na czworakach. Nagrodą za wyczyn była twarz dokumentnie oblepiona śniegiem.

- Och, Boże wielki! - usłyszał radosny szczebiot. - Nie potłukł się pan, milordzie? - Gdy podniósł głowę, Blanche znów cicho zachichotała. - Wygląda pan jak bałwan, milordzie! Bałwan, któremu odebrano całe jego dostojęstwo! A ma pan tę jemiolę?

Powstał. Jedną ręką otrzepał się starannie, zachowując przy tym szlachetną powolność ruchów, drugą wyciągnął przed siebie, prezentując wytarzaną w śniegu zdobycz.

- *Voilà!* - Kiedy Blanche sięgnęła po jemiolę, wicehrabia wysoko uniósł dłoń nad swoją głowę. - Moja droga, dobrze pani wie, że wszystko ma swoje konsekwencje. Pani podjęła mnie do ryzykownego czynu. Narażałem swoje życie, czyli zasłużyłem na nagrodę. A pani zasłużyła na karę.

Podszedł do niej, nie opuszczając ręki. Ona cofnęła się, wparła plecami w pień dębu. Uśmiechała się, ale głos miała słabiotki.

- Tak, milordzie... Nie była to pora na rozpamiętywania, ale jedna myśl chwilę później przemknęła mu przez głowę. W całowaniu panna Blanche okazała się bardzo pojętną uczennicą. Ledwie dotknął ustami jej ust, natychmiast je rozchyliła, a kiedy zaserwował pocałunek głęboki i namiętny, zaczęła pomrukiwać z zadowolenia. Kontrast między jej zziębniętym ciałem a ciepłem warg przyprawiał go o zawrót głowy. Zaś to ciało było cudowne, szczupłe, sprężyste, a zarazem tak oszłamiająco kobiece...

Ktoś gwizdnął. Bez wątpienia Bertie. Ktoś inny kazał mu być cicho, potem dodał:

- Kochanie, nie bądź głupi, chodź, popatrzymy na tamtą jemiolę...

- No cóż... - mruknął Julian, unosząc głowę, mocno zresztą oszołomioną i przytwierdzoną do bardzo podnieconego ciała. - Ta jemiola to był pani pomysł, Blanche.

- Tak... Jej nosek świecił prawie jak latarnia morska.

Włosy były w lekkim nieładzie. Wyglądała świeżo, zdrowo i tak dziewczęco. Prześlizgnęła się. On natomiast był zziębnięty na kość, śnieg za kołnierzem topniał, po plecach spływały zimne strużki. I rozpierała go radość.

Nie na długo, bo prawie natychmiast udzielił sobie w duchu reprimendy. Zważywszy na sytuację, żadne uniesienia nie są wskazane.

Ktoś dyskretnie chrząknął. To parobek szukał swego pana.

- Cc się dzieje, Bloggs?

Sługa, przejętym głosem przekazał wieść o powozie, który przewrócił się w głębokiej zaspie tuż przed bramą wjazdową. Tego powozu nie ma jak wydobyć, trzeba poczekać, aż śnieg przestanie padać i stopnieje, kiedy się trochę ociepli. A tego śniegu tyle napadało, że nie ma mowy, aby ci, co jechali tym powozem, szli dalej na piechotę. Bloggs i Harkiss nie dalej jak dwie godziny temu wracali z wioski i ledwie się przekopali przez zaspy. I dalej przecież sypie.

- Powóz, powiadasz... - Bertie sposepniał. - Kto nim jechał?

- Dżentelmen z żoną i dwójką dzieci. Wszyscy są już w domu, proszę pana.

- W domu?! - Bertie skrzywił się i spojrzał znacząco na przyjaciela. - Wygląda na to, że podczas świąt będziemy mieli nieproszonych gości.

- A niech to... - mruknął Julian.

- Biedni ludzie! - Blanche oderwała się od pnia starego dębu i brnąc przez śnieg, ruszyła w stronę domu, rzucając przez ramię pełne niepokoju pytania: - Czy ktoś się o nich zatroszczył, Bloggs? Jak małe są te dzieci? - Czy nikomu nic złego się nie stało?

W miarę jak się oddalała, jej głos cichł. Dziwne, pomyślał Julian, kiedy z Bertiem i Debbie ruszyli jej śladem. Większość kobiet, które wyuczyły się poprawnej wymowy, w chwili, gdy są czymś poruszone, zapomina o wszelkich naukach. Wracają do gwary, popełniają błędy językowe, po prostu nie panują nad sobą. A z Blanche jest odwrotnie. W chwili, gdy jest czymś bardzo przejęta, przemawia bezbłędną angielszczyzną. Jak prawdziwa dama...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wielebny Henry Moffatt, choć tego nie planował, tegoroczne święta miał spędzić u rodziny żony, musiał więc opuścić swoje probostwo. Do pokonania było około trzydziestu mil, dlatego wyruszył w drogę z samego rana, mimo że zaczął padać śnieg i towarzyszyli mu małżonka oraz dwójka małych dzieci. I żona, jak to żona, pełna była najgorszych przeczuć.

Teraz, uświadamiając sobie swoją lekkomyślność, czuł wielką skruchę. Był załamany, mogło przecież dojść do prawdziwej tragedii, kiedy powóz wpadł w zaspę i omal nie przewrócił się na dach. Nie ustawał też w przeprosinach, że tym oto sposobem w samą Wigilię obarczył obcych ludzi sobą i swoją rodziną. Ale może tu w pobliżu jest gdzieś jakaś gospoda?

- W wiosce, trzy mile stąd - powiedziała Verity - ale państwo w taką pogodę nie dacie rady tam dojść. Powinniście zostać tutaj. Pan Hollander będzie na to nalegał, jestem pewna.

- Proszę wybaczyć. Czy pani jest małżonką pana Hollandera? - spytał wielebny Moffatt.

- Nie, jestem tutaj także gościem. Pani Moffatt, zapraszam do bawialni. Będzie pani mogła ogrzać się przy kominku i odpocząć. Bloggs, proszę powiedzieć w kuchni, żeby podano herbatę do bawialni, a także coś do jedzenia. - Uśmiechnęła się do dwóch małych chłopców. Młodszy, chyba czterolatek, powoli ściągał gruby szal, nie odrywając oczu od Verity. - Jesteście głodni? - Chwyciła malców za ręce. - Och, co za głupie pytanie. Wiem przecież, że chłopcy są zawsze głodni. Chodźcie do bawialni razem z mamą. Przekonamy się, co tam kucharka przyśle nam na tacy.

W tym momencie do holu wkroczyła reszta towarzystwa, czyli pan Hollander z Debbie i wicehrabia Folingsby. Wielebny Moffatt przedstawił się, zaprezentował całą swoją rodzinę i złożywszy stosowne wyjaśnienia, bardzo przeproszał za zamieszanie.

- Bertrand Hollander - przedstawił się z kolei Bertie i uściśnął dłoń nieoczekiwanego gościa. - A to... moja żona, pani Hollander. I wicehrabia Folingsby.

Verity, eskortująca panią Moffatt i dzieci do bawialni, przystanęła na moment, ciekawa, jak też przedstawi ją pan domu.

Pana domu wyręczył wicehrabia, który spytał:

- Państwo poznaliście już moją żonę, wicehrabinę Folingsby?

- O tak! - Wielebny skłonił się Verity. - Milady była dla nas nader uprzejma.

Następne kłamstwo, pomyślała z goryczą Verity. Jakby było ich jeszcze za mało...

Przeszła do bawialni, gdzie usadziła przed kominkiem panią Moffatt, która, jak się okazało, była przy nadziei. Dzieciątko miało przybyć na świat już niebawem. Pousadzała też malców, a w tym czasie do bawialni weszła reszta towarzystwa. Wicehrabia stanął obok Verity, objął ją ramieniem. Po chwili poczuła, że drugą ręką chwyta jej lewą dłoń i chowa za plecami. Uśmiechał się cały czas, popatrywał na służących, którzy rozstawiali na stole filiżanki i spodeczki, włączył się nawet do ogólnej pogawędki, a jednocześnie wsunął coś ukradkiem na serdeczny palec Verity.

Kiedy wysunęła spoza pleców rękę, zobaczyła, że jest to sygnet, który wicehrabia nosił zwykle na małym palcu prawej ręki. Można go było od biedy uznać za substytut małżeńskiej obrączki. Był na nią trochę za duży, ale tylko trochę. Miała nadzieję, że jeśli będzie uważać, nie zsunie jej się z palca.

Dyskretnie zerknęła na Debbie. Jej ręka również została przyozdobiona w podobny sposób, czyli wicehrabia Folingsby i pan Hollander w tej materii mieli dużą praktykę.

- Panie Moffatt, proszę, nie chcę słyszeć już żadnych protestów! - powiedział wesoło Bertie.

- Moja żona i ja będziemy zachwyceni państwa towarzystwem, tak samo jak cieszymy się z obecności naszych drogich przyjaciół, wicehrabiego Folingsby'ego i jego małżonki. Cieszymy się też, że przybyli państwo wraz z dziećmi, bo bez nich święta nie byłyby takie jak powinny być!

- Jaki pan uprzejmy - powiedziała wzruszonym głosem pani Moffatt, kładąc dłoń na swoim imponujących rozmiarów łonie.

- Naprawdę bardzo się cieszymy - wtrąciła z uśmiechem Debbie. - Ten dom rozbrzmiewać będzie dziecięcym śmiechem i tupotem małych nóg. Proszę, proszę, ojciec wielebny, niech ojciec spocznie. Filiżankę i spodek proszę postawić na tym stolyczku. Na pewno państwo bardzo się wystraszyli, kiedy powóz wpadł w zaspę.

- A jak nami szarpnęło! O tak! - Starszy z chłopców rozłożył ręce i przechylił się na bok.

- Myślałem, że zaczniemy koziołkować i będzie pyszna zabawa! I wcale się nie bałem!

- Ja też się nie bałem - oświadczył jego braciszek, wyjmując na chwilę palec z buzi. - Ja nie boję się niczego.

- Rupercie, Davidzie, bądźcie cicho - upomniał ich ojciec. - Nikt was o nic nie pytał. Jednak Rupert wcale nie miał zamiaru być cicho.

- Tato, tato... - odezwał się teatralnym szeptem, ciągnąc ojca za rękaw. - Możemy iść na dwór? - Och, te dzieci! - zaśmiała się pani Moffatt.

- Zamiast cieszyć się z dachu nad głową, wrywają się na dwór! W taką pogodę! Ale moi synkowie uwielbiają zabawy na świeżym powietrzu.

- W takim razie miałbym dla nich pewną propozycję - odezwał się Julian, bawiąc się swoim lornionem. - Za domem leżą gałęzie sosny i ostrokrzewu do udekorowania domu. Trzeba je wnieść do środka. Bo i jak będziemy obchodzić święta, jeśli zostaną na dworze? - Podniósł lornion do oczu i z uwagą spojrzął na chłopców. - Zastanawiam się jednak, czy ręce, które teraz widzę, są wystarczająco silne. Jak sądzisz, Bertie?

Dwie pełne niepokoju pary oczu spojrzały na pana Hollandera.

- Pytasz się, co sądzę, Jule? - Bertie zmarszczył czoło na znak, że zastanawia się głęboko.

- Sądzę, że... Zaraz, moment, niech się przyjrzę... Czy to, co ten młody dżentelmen ma pod rękawem, to mięśnie?

Starszy chłopczyk natychmiast spojrzął na swój rękaw, z rozpaczliwą nadzieją, że tak będzie w istocie.

- Tak! To mięśnie! - obwieścił triumfalnym głosem Bertie.

- Oczywiście - przytaknął Julian, nachylając się ku chłopcom. - Powiedz mi, Bertie, czy widziałeś zręczniejsze palce niż te u drugiego z młodych dżentelmenów? Bo ja nie. Czyli niebo nam ich tu zesłało. Sądzę, że nie mają na co czekać, tylko włożyć czapki, szaliki i rękawiczki. O ile, oczywiście, ich mama na to pozwoli. A jeśli pozwoli, wtedy proszę młodych dżentelmenów za mną.

Verity patrzyła zafascynowana, jak dwóch znudzonych życiem hulaków na jej oczach zmienia się w miłych, cierpliwych wujków.

- Jacy panowie mili - powiedziała pani Moffatt. - Ale oni panów zamęczą.

- Wcale nie - zapewnił Bertie. - Ta sterta gałęzi jest całkiem pokaźna.

- Och! - Verity z radosnym uśmiechem spojrzała na chłopców. - Kiedy wniesiecie już te gałęzie i wyschniecie, możecie pomóc dekorować dom. Mamy gałęzie sosny, ostrokrzewu i jemiolę. Pani Simpkins znalazła na strychu mnóstwo wstążek, kokard, nawet dzwoneczki. Deb... to znaczy pani Hollander i ja wybierzemy, co może być przydatne, a potem przystroimy dom. Będzie pięknie. Mam przecucie, że te święta okażą się tak radosne jak nigdy dotąd. Dla każdego z nas.

Kiedy mówiła, napotkała wzrok Folingsby'ego. Julian uniósł brwi, po jego twarzy błąkał się kpiący uśmieszek, ale Verity nie dawała się zwieść tej masce cynizmu, którą

nakładał z taką lubością. Zdążyła przecież już poznać prawdziwe oblicze wicehrabiego, kiedy rozmawiał z dziećmi czy jak sztabak wspinał się na drzewo, a zrobił to wcale nie dlatego, że go o to prosiła, ale dlatego, że drzewo jest po to, by na nie wejść.

I nadal czuła na ustach ślad jego pocałunku. Za ten pocałunek - i to jaki! - nie powinna go potępiać. Należał mu się, i to nie dzięki pięciuset funtom, lecz w nagrodę za zdobycie jemioli. Jemiola, która uczyniła ten pocałunek niewinnym i czystym, choć był tak namiętny.

Kiedy obaj dżentelmeni wraz z zachwyconymi chłopcami opuścili bawialnię, wielbny Moffatt odezwała się wzruszonym głosem:

- Wygląda na to, że będziemy tu gościć co najmniej do jutra. Raduję się całym sercem, że Bóg pozwolił nam znaleźć się wśród ludzi, którzy z taką serdecznością przyjęli nas pod swój dach i którzy z takim zapałem szykują się do narodzin Pana.

- A ja zrobię gałąź pocałunków - oświadczyła Debbie. - Kiedy byłam dzieckiem, w moim domu zawsze wieszano taką gałąź splecioną z jemioli, bluszczu i ostrokrzewu. Olbrzymią, zajmowała w kuchni chyba połowę sufitu. Nikomu nie udawało się uciec spod niej bez całusa. Och, święta w naszym domu zawsze były nadzwyczajne!

- To szczególny czas - przytaknęła z uśmiechem pani Moffatt - nawet jeśli spędzamy go z dala od naszych rodzin, co, jak widzę, wszystkim nam przydarzyło się w tym roku. Pani mąż, pani Hollander, jest nadzwyczaj miły dla moich synków. Pani mąż także... - Posłała Verity promienny uśmiech. - Chłopcy cały dzień spędzili w powozie i teraz rozpięta ich energia.

- Lady Folingsby - odezwał się wielbny - wszyscy państwo zapewne pragnęliby w czasie świąt udać się do kościoła. Powiedziała pani, że teraz nie ma sposobu dotrzeć do wioski. Jeśli pan Hollander wyrazi zgodę, mógłbym w dzień Bożego Narodzenia tutaj odprawić nabożeństwo i wszyscy będziemy mogli przystąpić do komunii.

- Wspaniały pomysł, Henry - powiedziała pani Moffatt.

Debbie mruknęła coś niezrozumiale, a Verity złożyła ręce na podołku, przymknęła oczy i na chwilę wróciła wspomnieniami do świąt spędzanych w rodzinnym domu. Wieczorem wszyscy szli do kościoła rozświetlonego setkami świec, dzwony biły głośno, ogłaszając całemu światu narodziny Pana, przed ołtarzem stała szopka z pięknie rzeźbionymi figurkami. Ojciec w odświętnych liturgicznych szatach uśmiecha się do wiernych...

- Ależ tak! - powiedziała, otwierając oczy. I szybko zamrugła, żeby zetrzeć łzy. - Wszyscy będziemy ojcu nieskończenie wdzięczni. Pan Hollander na pewno się zgodzi. A ja... ja pragnę tego z całego serca.

- Jule? Czy nie odnosisz wrażenia, że wszystko wymyka nam się spod kontroli? - spytał Bertie, kiedy czekali w bawialni na resztę towarzystwa, aby pospołu udać się na kolację. Czekali otoczeni świątecznymi aromatami i widokami. Zielone gałęzie były wszędzie, ułożone artystycznie, i przyozdobione czerwonymi kokardami i srebrzystymi dzwoneczkami. Nad wnęką obok kominka powieszono gałąź pocalunków, ogromną, pękatą i nadzwyczaj wymyślną. Wszędzie unosił się zapach sosny, jeszcze silniejszy niż dręczące wonie dolatujące z dołu, z kuchni.

Julian na pytanie, które w gruncie rzeczy było pytaniem retorycznym, odpowiedział pytaniem:

- A czy ty nie odnosisz wrażenia, że błędem jest z góry przyklejać kobiecie etykietkę i być pewnym, że ona właśnie taka będzie?

Przed kilkoma minutami Blanche, przebierając się w garderobie - on w tym czasie przebierał się w pokoju - krzyknęła mu przez drzwi, że wolebny Moffatt zamierza po kolacji odprawić świąteczne nabożeństwo. Cała służba pytała, czy może w nim uczestniczyć. A jutro trzeba będzie zadbać, by chłopcy mieli wiele radości, przecież to święta. Jeśli spadnie śnieg...

Słuchał tego, wstyd przyznać, jednym uchem, utwierdzając się jednocześnie w przekonaniu, że panna Heyward, tancerka operowa, byłaby rzeczywiście wspaniałym sierżantem. Gdyby urodziła się mężczyzną, oczywiście. Przecież do dekorowania domu zagnała ich wszystkich - wszystkich! Biegali jak frygi, wspinali się, zawieszali, poprawiali, gotowi na każde jej skinienie. A ona była tak przejęta, zarumieniona, z błyszczącymi oczami. Śliczna.

Reasumując, bardzo dobrze, że panna Heyward nie jest mężczyzną.

- Miałaś może kiedyś kucharkę przez trzy, nie, cztery lata - ciągnął Bertie - i nagle odkryłaś, że ona potrafi gotować? Nie próbowałem jeszcze niczego, ale sądząc po tych zapachach... Nie, one nie mogą wprowadzać w błąd.

W tym momencie drzwi bawialni otwarły się na oścież i stanęły w nich obie damy.

- Wybornie, że tu jesteście! - wykrzyknęła ze śmiechem Debbie. - Tyle się namęczyłam z tą gałęzią pocalunków. Musi być z niej jakiś pożytek. Bertie, stań tam! Dostaniesz całusa!

- Coś - ! Znowu ? - Zrobił zabawnie tragiczną minę, ale skwapliwie ustawił się we wskazanym miejscu.

- Blanche? - zagadnął półgłosem Julian. - Jest pani zadowolona z siebie?

Szmaragdowe oczy jakby przygasły.

- Tylko wtedy, kiedy zapominam, w jakim celu tu przyjechałam. Pan dał mi już sporo pieniędzy, a ja na nie jeszcze... nie zarobiłam.

- Ale to chyba bardziej moje zmartwienie niż pani.

- Moje też. Dziś wieczorem postaram się to naprawić. W ciągu dnia dużo czasu spędzamy z sobą, więc trochę przywyknę do pana. Jeśli nadal będę trochę skrępowana, to tylko dlatego, że w tym, co ma nastąpić, jestem wielką ignorantką. Na pewno jednak nie okażę lęku i nie zrobię z siebie: męczennicy. Sądzę, że znajdę nawet w tym przyjemność. Poczuję też ulgę, że w końcu uczyniłam to, co do mnie należało i z czystym sumieniem mogę zatrzymać te pieniądze.

Gdyby w domu, oprócz służby, jedynymi mieszkańcami byli Bertie i Debbie, figlujący teraz pod gałęzią pocałunków, Julian po cichu powiódłby Blanche na górę, do łóżka z baldachimem. Bo tym razem, mimo że ponownie wspomniała o pieniądzach, jej nadzwyczaj szczere i uczciwe słowa podnieciły go. Ona go podnieciła. Niestety, przebywały tu jeszcze cztery dodatkowe osoby.

Poza tym Julian czuł się po prostu trochę zagubiony. Perspektywa wspólnej nocy z Blanche kusiała go przez cały ubiegły tydzień. Kusiała wczoraj, a dziś rano czuł się niezadowolony i oszukany po nocy spędzonej samotnie na podłodze. Potem jednak, w ciągu dnia, nastrój wyraźnie mu się poprawił. Pocałunek pod starym dębem dał mu ogromnie dużo satysfakcji, może nawet tyle co wspólna noc. Bo było też tak, że zanim do tego pocałunku doszło, śmiali się i żartowali z Blanche, a on nigdy dotychczas nie kojarzył śmiechu z rozkoszami cielesnymi.

- Pan jest mną rozczarowany, milordzie.

- Rozczarowany? Wcale nie! Jakże mógłbym być rozczarowany? - Założył ręce w tył, stanął w niedbalej pozycji. - Noc spędziłem na podłodze, obudzono mnie niemal o świcie, żebym podziwiał śnieg. Potem, podczas zamieci, wraz z innymi nieszczęśnikami wygnany zostałem na dwór i zmuszono mnie, bym wspiął się na drzewo, by dokonać zabójstwa swoich butów i omal nie skrócić karku. Niespodziewane przybycie duchownego wraz z rodziną pociągnęło za sobą konieczność spędzenia całej godziny na wynajdywaniu zajęcia dla dwojga bardzo żywych pacholąt, następną godzinę zajęło mi wspinanie się na meble i mocowanie gałęzi, i to tylko po to, żeby zaraz je odwiązywać i przesuwając o cal. Bo tak wygląda o wiele lepiej, czyż nie? Teraz czekamy na mszę w bawialni. Moja droga panno Heyward, czego mógłbym więcej oczekiwać podczas świąt? Roześmiała się.

- Mam dziwne przeczucie, milordzie, że dzisiejszy dzień podoba się panu!

Podniósł do oczu lornion i bacznie spojrzał na pannę Heyward.

- A pani, ufam, spodoba się noc... - rzucił półgłosem. - O, słyszę tupot małych nóżek, jak to poetycko określiła nasza Debbie. Zdaje się, że zaraz będziemy cieszyć się

towarzystwem tych małych obwiesiów tudzież ich mamy i papy, ponieważ w tym domu nie ma pokoju dziecinnego ani nianiek.

- Niezależnie od tonu pańskiego głosu, milordzie, sądzę, że pan czuje do chłopców wielką sympatię. Nie oszuka mnie pan.

- Czyżby? Och, wielki Boże... - jęknął, kiedy drzwi bawialni znów się otworzyły, wpuszczając do środka wielebnego i jego liczną rodzinę.

W rogu bawialni stał szpinet. Verity kilkakrotnie zdarzyło się spojrzeć tęsknie w tamtą stronę, raz nawet próbowała podnieść wieko, niestety było zamknięte na klucz. Tego wieczoru, kiedy wielebny Moffatt po kolacji szykował bawialnię do nabożeństwa, jego żona wspomniała o instrumencie. Pan Hollander zerknął na szpinet z ogromnym zdumieniem, jakby go dotychczas nie zauważył. Nie miał pojęcia, gdzie jest klucz. Choć to i tak nie miało większego znaczenia, bo, jak zauważył, kto miałby na nim grać?

- Ja! - oznajmiła panna Heyward.

- Cudownie! - wykrzyknął wielebny. - Zacznie pani grać, lady Folingsby, kiedy zaintonuję pieśń. Chciałbym jednak państwa uprzedzić, że z moim śpiewem nie jest najlepiej, w rzeczy samej fatalnie, prawda, Edie? Jakby słoń mi na ucho nadepnął. Każdy hymn będziemy kończyć kilka tonów niżej niż na początku!

Wielebny roześmiał się serdecznie, a pan Hollander poszedł wywiedzieć się wśród służby, gdzie podziewa się ów klucz.

- Gdzie pani nauczyła się grać, Blanche? - spytała Debbie.

- Na probostwie! - Verity uśmiechnęła się, potem zaraz pożałowała, że nie ugryzła się w język, i dodała pośpiesznie: - Uczyła mnie żona proboszcza.

To przynajmniej było prawdą. W drzwiach bawialni pojawił się pan Hollander i z triumfalnym uśmiechem zademonstrował wszystkim klucz. Szpinet był rozstrojony, na szczęście tylko trochę. Nut nie było, ale Verity wcale nie były potrzebne. Wszystkich ulubionych hymnów, tak samo jak i wiele innych utworów, wyuczyła się na pamięć, kiedy jeszcze była dziewczynką.

Stół, nakryty śnieżnobiałym wykrochmalonym obrusem, zmienił się w ołtarz. Do srebrnych lichtarzy wetknięto nowe świece. Piękny kielich i tacka, które kucharka gdzieś znalazła, a pokojówka starannie wypolerowała, przemieniły się w kielich mszalny i patenę. Kamerdyner odkurzył butelkę najlepszego wina, a kucharka znalazła czas i miejsce w piecu kuchennym, żeby upiec okrągły przaśny chleb. Wielebny Moffatt przebrał się w liturgiczną szatę, i nagle wszystkim wydał się bardzo jeszcze młody, ale jednocześnie pełen dostojeństwa.

Bawialnia zmieniła się w święte miejsce. Wszyscy, łącznie z dziećmi, siedzieli cichutko, jakby naprawdę byli w kościele i czekali na rozpoczęcie nabożeństwa, natomiast Verity zaczęła cicho grać jeden z ulubionych hymnów swego ojca.

Boże Narodzenie... Czuli, że łzy zaczynają napływać jej do oczu. Nigdy by się nie spodziewała, że w tym roku święta łączyć się jej będą co prawda z poświęceniem, ale w tak brzydki, występny sposób. Jednak mimo tych okropnych kłamstw i wszetecznej obłudy, nadeszły święta. Dla wszystkich, także dla czwórki grzeszników: pana Hollandera, Debbie, wicehrabiego Folingsby'ego i Verity.

Tamtej nocy, od której minęło ponad osiemnaście stuleci, narodziło się święte dzieciątko. Co rok rodzi się wciąż na nowo i tak będzie zawsze. Zawsze będą narodziny. Zawsze nadzieja. Zawsze miłość.

- Drodzy przyjaciele... - Głos duchownego był pogodny, a jednocześnie pełen powagi, całkiem inny niż głos wielebnego Moffatta, kiedy konwersował przy herbacie czy podczas kolacji. Teraz wielebny uśmiechnął się do każdego z nich z osobna, jakby chciał ofiarować im ciepło, spokój i radość tej świętej nocy.

Nabożeństwo trwało przeszło godzinę, na koniec odśpiewano piękny hymn. Wszyscy śpiewali z zapalem, każdy trochę po swojemu. Verity bardzo czysto, w przeciwieństwie do jednego ze stangretów, który fałszował niemilosiernie. Gospodyni stosowała imponujące *vibrato*. Pan Hollander dysponował silnym tenorem. Debbie śpiewała z wymową jawnie wskazującą na Yorkshire. Mały David w śpiew wkładał całe swoje serce, stosując się przy tym całkowicie do własnej tonacji. Nie, nie stanowili idealnego chóru, ale nie miało to żadnego znaczenia. Ich śpiew był wyrazem największej radości. Obchodzili przecież święta. Święta Bożego Narodzenia.

Kiedy umilkły ostatnie dźwięki, niespodziewanie przemówiła pani Moffatt:

- Panie Hollander, pani Hollander! Proszę wybaczyć, że narażam państwa na kolejne niewygody. Henry, kochanie, wydaje mi się, że nasze dziecko pojawi się na świecie w dniu Bożego Narodzenia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Henry Moffatt długimi krokami przemierzał bawialnię, co czynił zresztą nieustannie przez ostatnich kilka godzin.

- Właściwie człowiek powinien do tego przywyknąć - powiedział, zatrzymując się na chwilę przed Julianem i Bertiem, którzy obaj, jeden bledszy od drugiego, trwali na swych krzesłach po obu stronach kominka. - W końcu mam już dwóch synów. A tak nie jest. Wszystkie moje myśli są teraz przy dziecku, moim dziecku, które z trudem toruje sobie drogę na świat. Wszystkie moje myśli są też przy mojej towarzyszce życia, osobie tak mi bliskiej, jakby to była moja krew. Cierpi teraz niewysłowiony ból, samotnie stawiając mu czoło, dlatego czuję się tak bezradny i jednocześnie winny, że nie mam w sobie więcej wiary w zamysły Wszechmogącego. Poza tym, może zabrzmie to trywialnie, ale nawet w takiej chwili nie potrafię zapomnieć, jak bardzo oboje z żoną pragniemy córki. - Wielebny westchnął i podjął swoją wędrówkę donikąd, czyli tam i z powrotem.

- Czy to się wreszcie skończy? Julian nigdy nie przebywał pod jednym dachem z kobietą wydającą dziecko na świat. Kiedy pomyślał o tym, co dzieje się teraz na piętrze - bo i jakże mógł o tym nie myśleć¹? - !

- słyszał w uszach dziwny szum, w nozdrzach czuł osobliwy chłód. Dopuszczał nawet możliwość omdlenia, choć to nie on był przyszłym ojcem.] przypominał sobie, jak nonszalancko kilka dni temu w pokoju dziecięcym w swoim domu planował posiadanie dziecka jeszcze przed następnym Bożym Narodzeniem. Albo tuż po.

To musi boleć jak diabli, pomyślał. Dla niego ta myśl była niemal odkryciem stulecia.

W wiosce nie było doktora, tylko akuszerka, która mieszkała co najmniej milę stąd. Dotarcie do niej było teraz niemożliwością, o skłonieniu jej do przybycia do domu pana Hollandem nie wspominając. A dziecko było już w drodze.

Na szczęście pani Moffatt z uśmiechem - bez wątpienia była to tylko maska spokoju - obwieściła wszystkim, że przecież urodziła już dwójkę dzieci, była też przy narodzinach kilkorga innych, więc doskonale da sobie radę sama, o ile kucharka przygotuje kilka rzeczy, i to jak najprędzej, bo czas nagli. Prosiła też, żeby wszyscy udali się na spoczynek, a ona obiecuje, że nie będzie przeszkadzać głośnymi krzykami.

Julian natychmiast oczyma wyobraźni ujrzał kobietę wijącą się z bólu w śmiertelnych męczarniach i, naturalnie, krzyczącą wniebogłosy.

Debbie, z oczyma zajmującymi teraz więcej niż połowę twarzy, wpatrywała się w bladego jak papier Bertiego.

- Skoro pani tak twierdzi... - odezwał się słabym głosem.

- Chodź, Henry - powiedziała pani Moffatt. - Najpierw położymy chłopców spać. Pani Simpkins, czy mogę liczyć na panią? Proszę przyjść tu za kilka chwil...

Twarz pani Simpkins przybrała kolor jasnej zieleni.

I wtedy przemówiła Blanche:

- Pani Moffatt, sama sobie pani nie poradzi. Poza tym pani zadaniem jest wytrzymać ból i nic więcej. My zajmiemy się całą resztą. Panie Moffatt, czy nie mógłby pan sam zaprowadzić chłopców do łóżek? Chłopcy, pocałujcie mamę na dobranoc. Rankiem czeka was wspaniała niespodzianka. Im szybciej zaśniecie, tym szybciej przekonacie się, co to za niespodzianka. Pani Lyons, proszę nagrzać wody w dużym kociołku i trzymać na ogniu. Pani Simpkins, proszę przygotować jak najwięcej czystych prześcieradeł. Debbie...

- Ja?! Och nie! Błagam, Blanche...

- Będzie pani ocierać twarz pani Moffatt ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie, co przyniesie jej ulgę. Poradzi pani sobie z tym, prawda? A ja zajmę się resztą.

Resztą, czyli odbieraniem dziecka. Zafascynowany Julian nie odrywał wzroku od swojej tancerki operowej.

- Czy pani kiedyś już to robiła, Blanche?

- spyta..

- Oczywiście! - odparła różnym głosem.

- Na probostwie. Nieraz pomagałam... żonie proboszcza i naprawdę wiem, co należy zrobić. Proszę się nie obawiać.

Julian doskonale zapamiętał, co się potem działo. Wszyscy dosłownie spijali z jej ust każde słowo i bez szemrania wykonywali polecenia. Uwierzyli w jej siłę, w jej wiedzę i dzięki temu stali się dobrym, zgranym zespołem.

Kim, u diabła, naprawdę była? Bo niby z jakiej racji córka kowala tak często przebywała na probostwie? Żeby wyuczyć się gry na szpince? I przy okazji nauczyć się odbierać poród?

Trzech mężczyzn, kompletnie w tej sytuacji bezużytecznych, zostało pozostawionych samym sobie w bawialni, gdzie trwali ze swoim strachem. Wszyscy trzej znajdowali się na pograniczu hysterii.

Kiedy drzwi bawialni uchyliły się, trzy blade, udręczone twarze zwróciły się natychmiast w tamtą stronę.

Twarz Debbie natomiast była zarumieniona i promienna, włosy lekko potargane, cała pulchna postać spowita w fartuch szyty na giganta. Jednym słowem, wyglądała uroczo.

- Już po wszystkim, proszę ojca - powiedziała, zwracając się do wielebnego Moffatta.
- Ma ojciec... dziecko. Nie wolno mi powiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Pańska żona oczekuje ojca.

Wielebny przez kilka chwil stał nieruchomo, po czym bez słowa opuścił bawialnię.

- Bertie... - Debbie zwróciła ku ukochanemu oczy pełne łez. - Powinieneś też tam być. Ono po prostu nagle pojawiło się w rękach Blanche, najśłodsza istotka, cała mokra, niezadowolona i rozkrzyczana. Najprawdziwszy człowiek, taki maciupęńki... Och, Bertie, kochanie... - Rzuciła się w jego ramiona i rozszlochała się na dobre.

Bertie, wydając z siebie pocieszające pomruki, rzucił Julianowi znaczące spojrzenie.

- W całym swoim życiu nigdy jeszcze nie czułem takiej ulgi - powiedział. - Ale jestem wdzięczny losowi, Debbie, że nie musiałem tam być. Teraz chodźmy spać. Chyba że jesteś jeszcze tam potrzebna? - Nie. Blanche powiedziała, że mogę się już położyć, choć ona tam jeszcze zostanie. Jest nadzwyczajna, żadna akuszerka nie zrobiłaby tego lepiej. Przez cały czas podtrzymywała na duchu mnie i panią Simpkins. Bo pani Moffatt nie bała się niczego, tylko wciąż przepraszała, że przez nią nie możemy iść spać. Spać! Och, Bertie! Jeszcze nigdy nie czułem się tak zaszczycona! Że mnie, prostej i zwyczajnej Debbie Markle, pozwolono tam być!

- Chodź, chodź już, kochanie, odpoczniesz sobie... - Wziął Debbie pod ramię i wyprowadził z bawialni.

Julian, odczekawszy kilka minut, również udał się do swojej sypialni, zastanawiając się, która to może być godzina. Przypuszczał, że do świtu już niedaleko. W pokoju było ciemno, świece niepozapalane, cóż się jednak dziwić, przecież cały dom został postawiony na nogi. Ktoś jednak napalił w kominku, i to dosłownie przed chwilą.

Stanął przy oknie. Śnieg przestał padać, chmur było niewiele, ale niebo czarne, do świtu jeszcze daleko.

Skrzypnęły drzwi. Do pokoju weszła Blanche. Wyglądała podobnie do Debbie, z tym że o wiele gorzej. Włosy i ubranie były w kompletnym nieładzie. Wyglądała na nieludzko zmęczoną i wyglądała prześlicznie.

- Nie musiał pan na mnie czekać, milordzie.

- Proszę, niech pani podejdzie do mnie, Blanche. - Po chwili objął ją ramieniem, a ona oparła się o niego całym znużonym ciałem.

- Proszę spojrzeć tam, Blanche. Przez dłuższą chwilę milczeli, oboje wpatrzeni w jaśniejącą gwiazdę. Gwiazdę betlejemską, symbol nadziei, gwiazdę przewodnią dla tych wszystkich, którzy szukają mądrości i sensu życia. Julian nie wiedział, czy podczas tych świąt stał się mądrzejszy, czy pojął sens swego życia, ale czegoś na pewno się dowiedział, czegoś się nauczył. Coś posiadał.

- Już Boże Narodzenie - powiedziała cicho.

- Tak... - Pocałował ją w czubek głowy.

- Tak, już Boże Narodzenie. Mają córkę?

- Mają. Nigdy jeszcze nie widziałam tak szczęśliwych ludzi, milordzie. Ich córeczka przyszła na świat w świętą noc. Czy można dostać cenniejszy podarek?

- Wątpię.

Znów pomilczeli chwilę, po czym Julian zapytał:

- Blanche, a gdzie było to probostwo? Blisko kuźni?

- Tak.

- Pani chodziła do szkoły parafialnej, czy tak? Uczyła się też grać na szpincie i odbierać poród?

- T... tak.

- Blanche! Mam wszelkie podstawy, by przypuszczać, że większej kłamczuchy niż pani nigdy jaszce w życiu nie spotkałem. Żadnej odpowiedzi.

- Blanche, już bardzo późno. A może bardzo wcześnie. Nieważne. Niech pani idzie szykować się do snu.

- Tak, milordzie. Żadnego słowa protestu. Czyli męczennica posłuszna.

Leżał już w łóżku, kiedy panna Heyward w tej swojej panieńskiej koszuli wyszła z garderoby. Tycjanowskie włosy miała rozpuszczone. W świetle dogasającego ognia nadal wyglądała na osobę uległą.

- Proszę - powiedział Julian, unosząc kołdrę. Drugą rękę wsunął pod poduszkę.

- Tak, milordzie. Bez ociągania ułożyła się na łóżku. Wtedy odwrócił ją ku sobie, przytulił i starannie okrył jej plecy kołdrą. Jego usta były bardzo niedaleko jej ust. Pocałował ją więc, niespiesznie, ale gruntownie.

- A teraz proszę spać. Otworzyła szeroko oczy.

- Ale...

- Ale nic. Jest pani zmęczona, Blanche. W takim stanie człowiek ani sam nie odczuwa zadowolenia, ani nie daje go innym. Proszę spać.

- Ale...

Tym razem uciszył ją pocałunkiem.

- I ani słowa więcej, Blanche, o pięciuset funtach i konieczności zarobienia na nie. Przyrzekła mi pani, że przez tydzień należeć będzie do mnie, we wszystkim posłuszna mojej woli. A więc niech pani będzie posłuszna i zaśnie. Bo taka jest moja wola.

Czekał na kolejny protest, lecz zamiast tego usłyszał cichutkie, pełne ulgi westchnienie, a po chwili miarowy oddech.

Jakie to zabawne, pomyślał, tuląc do siebie szczupłe, ale bardzo kobiece ciało. Nie dostał tego, czego chciał, a wcale nie czuł się sfrustrowany czy urażony. Przeciwnie, czuł się wspaniale, rozluźniony i śpiący jak mężczyzna, który przed chwilą zażył niebywałych uciech. Wkrótce zresztą poszedł w ślady Blanche. Zasnął.

Tego ranka Verity obudziła się nieco wcześniej niż zwykle. Półsenna jeszcze, wtuliła się z rozkoszą w wygrzaną pościel. Ziewnęła, przeciągnęła się leniwie... i nagle uzmysłowiła sobie, że w tym ciepłym posłaniu jest sama. Otworzyła oczy. Wicehrabiego nie było ani w łóżku, ani w pokoju.

Tej nocy spał obok niej. Po prostu spał. Kazał jej się położyć obok siebie, przytulił ją i kazał zasnąć. Nie, nie tak. W jego głosie nie było niczego rozkazującego. Po prostu powiedział, że ma spać. A jego objęcia i pocałunek były pełne czułości... och, tak...

A może ona sobie to tylko wyobraziła? Może... ale jak by na to nie patrzeć, wicehrabia jest człowiekiem wzbudzającym sympatię. Odrzuciła kołdrę, wstała z łóżka i ruszyła do garderoby, cały czas pochłonięta swym ostatnim spostrzeżeniem. Urodziwa powierzchowność od razu rzuciła jej się w oczy, to naturalne, ale nie spodziewała się, że piękny arystokrata okaże się człowiekiem tak miłym i pełnym życzliwości. Umyła się, włożyła białą suknię z cienkiej wełny. Skromną, rzecz jasna, bo tę cechę w ubiorach ceniła nade wszystko. Dekolt był niewielki, rękawy długie i wąskie, spódnica kloszowa. Wyszczotkowała włosy i upięła w kok z tyłu głowy.

Ostatnie spojrzenie w lustro. Nie, nie ostatnie. Spojrzała jeszcze raz na swoją niczym nieozdobioną szyję.

Dziś Boże Narodzenie. Dzień tak uroczysty. Czy powinna? Chyba tak... Otworzyła szufladę, w której umieściła większość swoich rzeczy. Przez dłuższą chwilę spoglądała na pudełko, w końcu je wyjęła i podniosła wieczko. Ten wisiorek, spoczywający na jedwabnej wyściółce, wykonany tak kunsztownie, musiał kosztować majątek. Verity nigdy jeszcze nie dostała czegoś tak pięknego.

Dotknęła palcem złocistej gwiazdki. Cofnęła rękę. Znów chwila wahania, ale decyzja podjęta. Wyjęła złoty łańcuszek, rozpięła zameczek, pochyliła głowę...

- Pani pozwoli, że ja to zrobię, panno Heyward.

Drgnęła, usłyszawszy tuż za sobą niski męski głos. Ciepłe dłonie przykryły jej dłonie, palce chwyciły końce złotego łańcuszka.

Stała z pochyloną głową, czekając cierpliwie, aż lord upora się z zameczkiem.

- Dziękuję, milordzie. Podniosła głowę i spojrzała w lustro. Dłonie wicehrabiego, ubranego jak zwykle bardzo wytwornie, spoczywały na jej ramionach.

Uśmiechnęła się do jego odbicia w lustrze, musnęła palcami złocistą gwiazdkę.

- Piękny podarek... A ja też mam coś dla pana, milordzie.

Kiedy wyjeżdżała z Londynu, nie myślała wcale o podarku świątecznym. Wicehrabia jawił jej się wyłącznie jako chlebodawca, który zapłaci za nieograniczone wykorzystanie jej ciała. Nie spodziewała się, że ten właśnie człowiek stanie się dla niej prawie przyjacielem.

Sięgnęła do szuflady. Sama nie wiedziała, skąd ta nagła decyzja o oddaniu właśnie wicehrabiemu czegoś, co przechowywała jak największy skarb. Bardzo jednak chciała to zrobić.

I wcale nie dlatego, że była to rzecz wymyślna czy kosztowna. Nie. Chciała to zrobić, bo było to coś drogiego jej sercu.

- Proszę. - Wyciągnęła ku niemu dłoń. - Dla mnie to coś bardzo cennego. Ojciec dał mi ją kiedyś, kiedy wybierałam się w podróż, a ja teraz chciałabym dać ją panu, milordzie.

Była to tylko złożona we czworo chustka do nosa. Co prawda wykonana z najcieńszego płótna, ale tylko chustka.

Julian położył ją sobie na dłoni i spojrzał Verity głęboko w oczy.

- Pani podarek jest o wiele cenniejszy niż mój, panno Heyward. Mój to tylko przedmiot za jakieś tam pieniądze, a pani darowała mi część siebie. Dziękuję. Będę strzegł tej chustki jak skarbu.

- Wesołych świąt, milordzie.

- Wesołych świąt, panno Heyward. - Pocałował ją tak delikatnie, tak słodko. - Wesołych świąt, Blanche...

Poczuła się szczęśliwa, nawet jeśli jej myśli nieustannie biegły ku matce i siostrze, które obchodziły święta bez niej. Ale one mają siebie. A ona ma...

Nie, to niepotrzebna myśl. Odpędziła ją szybko potokiem słów:

- Ciekawa jestem, jak się miewa córeczka państwa Moffatów. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę! Ciekawa jestem, jak minęła ta pierwsza noc, czy maleństwo spało i pani Moffatt miała sposobność odpocząć? Czy chłopcy widzieli już swoją siostrzyczkę?

Musimy się nimi zająć, ojciec na pewno nie będzie miał dla nich czasu, a dziś przecież Boże Narodzenie, taki ważny dzień dla dzieci...

- Nie wątpię - wycedził Julian, nagle znów znudzony i cyniczny, jak to miał w zwyczaju. - Przypuszczam... a raczej mam pewność, że pani znów wpadnie do głowy jakiś wspaniały pomysł, dzięki któremu pod koniec dnia będziemy padać z nóg.

- Nie podobał się panu wczorajszy dzień? Szkoda... A dziś Boże Narodzenie, milordzie. Pan Hollander na pewno niczego nie zaplanował, bo nie potrafi albo zawsze robi to za niego ktoś inny. Dlatego trzeba go wyręczyć.

- Muszę pani szczerze wyznać, że Bertie i ja z rozmysłem chcieliśmy uniknąć świątecznego rozgardiaszu. Żadnego zbierania gałęzi podczas zamieci, żadnego wypełniania domu radosnym gwarem i krzątaniem, żadnego śpiewania kolęd i zabawiania dwóch nadzwyczaj żywych chłopców. Żadnego przyjmowania porodu. Tylko słodkie uciechy w ciepłym łóżku.

- Czyli jednak nie podobał się panu wczorajszy dzień... Jest pan rozczarowany, niepotrzebnie zajęłam też czas panu Hollanderowi i...

- Szaa... - Położył jej palec na ustach. - Wcale tego nie powiedziałem. A jeśli chodzi o nowo narodzone dzieciątko, wiem, że spało całą noc. Dopiero nad ranem podniosło rwestes. Pani Moffatt mogła więc przespać się parę godzin, ponoć czuje się rześka, po prostu znakomicie. Wielebny Moffatt: nadal jest w stanie uniesienia. Powtarza wszystkim, że na całym świecie nie ma człowieka bardziej szczęśliwego niż on, w domyśle również bardziej przebiegłego, na świat przecież przyszła upragniona dziewczynka. Chłopcy dostali już podarki gwiazdkowe, widzieli też swoją siostrzyczkę. Wygląda na to, że są pod takim samym wrażeniem jak ich ojciec. Teraz baraszkuje w bawialni, wielebny pozwolił im wyładować trochę energii. Pani Lyons szaleje w kuchni, cała służba zwija się jak w ukropie. Bertie i Debbie jeszcze nie pokazali się bliźnim, zapewne więc zażywają uciech w ciepłym łóżku. A pani, panno Heyward, wygląda piękniej, niż kobieta ma prawo wyglądać. W panieńskiej bieli bardzo pani do twarzy. I podkreślam, wcale nie jestem z tych świąt niezadowolony. Przede wszystkim nie są nudne, a jeszcze się nie skończyły. Jakież są więc dalsze pani plany?

- Hm... pomyślałam sobie, że skoro są tutaj z nami dzieci, ich matka nie jest w dobrej kondycji, a ojciec pragnie spędzać jak najwięcej czasu z małżonką i córeczką... no i skoro napadało tyle śniegu, a reszta z nas właściwie nie ma żadnych szczególnych zajęć oprócz... oprócz...

- Oprócz uciech w łóżku? - odpowiedział usłużnie Julian.

- Właśnie... A śniegu jest tyle...

- Pojmuję. Pani ma na myśli sporty zimowe. Ciekawe tylko, czy Bertie i Debbie będą tym zachwyceni.

- Przecież nie spędzą całego dnia w łóżku, prawda? Nie byłoby to zbyt uprzejme wobec wielbnego i jego małżonki.

- Święta racja, panno Heyward! - Z uśmiechem podał jej ramię. - Bierzemy się do dzieła, bo ja, i mówię to całkiem szczerze, pani planom wcale nie jestem niechętny!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przez cały dzień Julian nie zmienił swego zdania, choć grubo przesadził, prorokując, że Blanche znów wycisnie z nich ostatnie soki.

Zaraz po śniadaniu zabrali dzieci na dwór. Po jakimś czasie dołączyli do nich Bertie i Debbie. W rezultacie wszyscy wesoło baraszkowali na śniegu, zdawało się ledwie parę chwil, a tak naprawdę trwało to kilka godzin, aż zjawił się Bloggs i oznajmił, że podano do stołu.

Przedtem rozbrykana gromadka stoczyła zażartą bitwę na śnieżki, która zdaniem Juliana nie została rozstrzygnięta sprawiedliwie. Swoje niezadowolenie zresztą wyraził głośno. On i Bertie musieli stawić czoło zarówno obu chłopcom, jak i obu damom, a gdyby Debbie walczyła w szeregach strzelców brytyjskich, na francuskiej ziemi żaden Francuz nie ostałby się bez dziury w sercu. Każda śnieżka przez nią rzucona trafiała do celu.

Po każdym rzucie Debbie wydawała z siebie zwycięski okrzyk, a jej towarzysze podnosili radosny wrzask.

Potem lepiłi bałwany. To znaczy jednego lepił Julian, drugiego Bertie, natomiast chłopcy skakali dookoła i na tym polegała ich pomoc. Debbie pomknęła do domu, żeby wybłągać w kuchni węgielki i marchewki, Blanche natomiast, usadowiona w wygodnej pozie na kupce zbitego śniegu, oświadczyła, że jako sędzia wzięła na swe barki największy ciężar. Nagrodę w postaci marchewki otrzymali Bertie i David.

Potem robili orły na śniegu, dopóki Rupert nie oświadczył, że to zabawa dobra dla dziewczynek. Blanche i Debbie bawiły się więc dalej, natomiast mężczyźni odgarnęli śnieg na zboczu i zaczęli zjeżdżać na butach. Julian szusował z Davidem na ramionach, wczepionym w jego włosy. Chłopczyk krzyczał na całe gardło z radości, a zapewne trochę i ze strachu.

Świąteczny obiad okazał się prawdziwie mistrzowskim dziełem sztuki kulinarnej. Wszyscy pałaszowali potrawy z apetytem, po czym Bertie posłał po kucharkę i wygłosił piękną mowę dziękczynną.

Blanche, naturalnie, to nie wystarczało. Poprosiła pana Hollandera, żeby, o ile, naturalnie, nie ma nic przeciwko temu, zaprosił do bawialni całą służbę na świąteczny poncz. Ona chciałaby przy tej sposobności wyrazić im wdzięczność za ciężką pracę, dzięki której wszyscy mają tak wspaniałe święta.

- Mogę tylko temu przyklasnąć, lady Folingsby - powiedział wielebny Moffatt. - Chociaż z moich obserwacji wynika, że dwoili się i troili nie tylko służący. Moja małżonka i

ja nieprędko zapomnimy o ciepłym przyjęciu, z jakim spotkaliśmy się tutaj, i o staraniach państwa, aby zabawić nasze dzieci. O ostatniej nocy nie wspominając. Za to, co pani dla nas zrobiła, nigdy nie zdołamy się odwdzińczyć, lady Folingsby. także pani, pani Hollander. Oczywiście nawet nie będziemy próbowali, bo wiemy, że uczyniły to panie z dobroci serca, a my z pokorą przyjęliśmy ten dar.

Debbie głośno sięgnęła nosem i szybko skorzystała z chusteczki, którą podał jej Bertie.

- Jeszcze nikt nigdy o mnie tak pięknie nie powiedział - rzekła wzruszonym głosem. - Ale ja naprawdę na niewiele się przydałam. To przede wszystkim zasługa Blanche.

Służący spędzili godzinę w bawialni, racząc się świątecznym ciastem, babeczkami z bakaliami i świątecznym ponczem. Każdy z nich obdarowany został przez chlebowodawcę sporą sumką, wicehrabia i wielebny również sięgnęli do kieszeni..

Julian nie pamiętał, kto zainicjował śpiewanie kolęd, choć z pewnością była to Blanche. W każdym razie akompaniowała na szpince, a śpiewali wszyscy, wzruszeni i w podniosłym nastroju.

A potem, kiedy służący odeszli, pani Moffatt zgotowała wszystkim niespodziankę. Znikła na chwilę i wróciła, tuląc w objęciach maleńką córeczką.

Julian zawsze bardzo lubił dzieci. Nie mogło zresztą być inaczej, skoro podczas wszelkich zjazdów rodzinnych dzieci było zawsze wystarczająco dużo, żeby zatruć życie tym, którzy nie darzyli ich sympatią. Na noworodki czy niemowlęta nie zwracał jednak uwagi, była to bowiem domena kobiet. Te najmniejsze istoty potrzebowały tylko ich. One je karmiły, kołysały, przewijały i śpiewały im kołysanki.

Teraz jednak okazało się, że maleństwem państwa Moffatt jest bardzo zainteresowany. Dzięki jego narodzinom te święta stały się bardzo wyraziste, jak nigdy dotąd. I to Blanche odebrała dziecko. Teraz trzymała je na ręku i wpatrywała się w nie z taką czułością, że Julianowi omal nie zakręciło się w głowie. Jak to wszystko do siebie pasowało. Śliczna Blanche, ubrana ze skromną elegancją, emanująca zdrowiem, witalnością i ciepłem, trzymającą w ramionach nowo narodzone dzieciątko...

Zupełnie jakby to było jej dziecko. I... jego?

Natychmiast wyrzucił z głowy tę niedorzeczną, niepokojącą myśl, a jednocześnie przyłapał się na tym, że spogląda Blanche głęboko w oczy. Ona zaś uśmiecha się do niego.

Ach, Blanche! Trudno uwierzyć, że jeszcze tydzień temu patrzył na nią wyłącznie jak na kandydatkę do uciech. Widział tylko urodę. Długie, zgrabne nogi, gibką postać, wspaniałe włosy i śliczną twarz. Nie docierało do niego, że jest to człowiek, a w pięknym ciele jest duch

jeszcze piękniejszy. Dlatego zakochał się. Tak. Dotarło to do niego i wzbudziło największe zdumienie. Nigdy przedtem nie był zakochany. Owszem, żądę czuł niezliczoną ilość razy. Czasami, zwłaszcza we wczesnej młodości, nazywał to miłością, ale nigdy jeszcze nie odczuwał tak bolesnej wręcz potrzeby drugiego człowieka. I nie chodziło o to, żeby tylko posiadać Blanche, chociaż tego, naturalnie, chciał także. Pragnął czegoś więcej, o wiele więcej. Chciał być częścią niej, częścią życia tej niezwykłej kobiety, a nie tylko przelotnym właścicielem jej ciała.

Uśmiechnął się do Blanche, może i trochę niepewnie, ale uśmiechnął się. Tę wymianę uśmiechów zauważyła pani Moffatt.

- Sądzę, że pan, milordzie, i lady Folingsby jesteście małżeństwem od niedawna.

Podtekst był aż nadto oczywisty. Zbyt krótko, żeby cieszyć się potomstwem.

- Od niedawna.

Cóż innego mógł powiedzieć ?

Kilka godzin później, po herbacie i wspólnych grach towarzyskich, które zainicjowali Blanche i wielebny, by zabawić dzieci i dorosłych, Julian doszedł do pewnego wniosku. Był zadowolony, że nie pojechał do Conway Hall. Naturalnie, że brakowało mu rodziny. Był też świadomy, że gdyby pobyt w Norfolkshire przebiegał zgodnie z planem, żałowałby swego przyjazdu tutaj. To, co z Bertiem zaplanowali na ten tydzień, było fatalnym sposobem obchodzenia świąt, tak naprawdę żadnym sposobem. Na szczęście wypadki potoczyły się inaczej i raptem tu, w Norfolkshire, pojawiło się wszystko, co łączyło się z Bożym Narodzeniem. Miłość, gościnność, radość, życzliwość. Dzielenie się tym z innymi. Także skromność i przyzwoitość... Można by tak wymieniać w nieskończoność.

Tak. Wszystko było niezgodne z planem. Jakby ktoś inny ujął w ręce ster. Jakby jakaś niewidzialna dłoń wiodła ich ku czemuś, ku czemu dążył każdy, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ręka czy gwiazda? Gwiazda wiodąca do stajenki w Betlejem?

Może wicehrabia Folingsby miał więcej wspólnego z owymi mędrcami Wschodu, niż to sobie do tej chwili uzmyslał...

Rufus i David, ziewając szeroko, ulegli w końcu ojcu i pomaszerowali do łóżek. Przedtem jednak nie obyło się bez uścisków z nowymi ciotkami i wujami, uściskami tak serdecznymi, jakby wszyscy znali się od zawsze.

- Aż trudno uwierzyć, że będziemy musieli się rozstać z tymi małymi urwisami, prawda, Deb? - powiedział Bertie i też ziewnął. - Jak podobały ci się święta?

- Och, kochanie... - Westchnęła. - To były najpiękniejsze święta od chwili, gdy wyprowadziłam się z domu. Wielebny jest przemiłym dżentelmenem, chłopcy to prawdziwe skarby. A maleństwo?! Nigdy nie zapomnę tej nocy. Zresztą wcale tego nie chcę! Och, Bertie! To były moje najpiękniejsze święta w życiu. I jest to przede wszystkim zasługa Blanche!

- Oczywiście! - przytaknął skwapliwie. - Jesteśmy pani niezmiernie wdzięczni, Blanche, że dała nam pani tyle radości.

- Ja?! - Roześmiała się. - To sprawiły same święta. One po prostu takie są, bez niczyjej pomocy.

- Nonsens! - zaprotestował Julian. - Kiedyś potrzeba było całego zastępu aniołów, żeby pasterze opuścili swoje pastwiska. Nam też potrzebny był anioł, byśmy ruszyli w podobną pielgrzymkę. - Wstał z krzesła i wyciągnął rękę do Blanche - Pora spać, aniele!

Kiedy Verity wyszła z garderoby, wicehrabia, ubrany w nocną koszulę, stał przy oknie.

- Czy gwiazda dalej jest na niebie? - - spytała, podchodząc do niego.

- Nie ma jej. Poszła sobie albo zakryły ją chmury. Robi się cieplej. Jutro zapewne śnieg całkiem zniknie.

- Czyli święta rzeczywiście mamy już za sobą - stwierdziła melancholijnie.

- Nie całkiem. Objął ją, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

Nie, nie miała przed tym żadnych oporów. W towarzystwie wicehrabiego czuła się tak swobodnie. Och, zbyt swobodnie! Jakby zaczynała wierzyć, że są stworzeni dla siebie. Wierzyć do tego stopnia, że kiedy trzymała w ramionach nowo narodzone dzieciątko, przez moment wyobraziła sobie, że to ich dziecko. Jej i wicehrabiego.

Czyli zaczyna wierzyć w bajki.

- Blanche... - Nagle, w jednej chwili, utonęła w jego ramionach. Obejmowali się tak mocno, całowali z taką namiętnością, jakby rzeczywiście wcale nie było przeznaczone, że mają być osobno. Jakby oboje mogli znaleźć szczęście i spokój duszy tylko wtedy, kiedy będą razem. Tak blisko jak teraz. - Blanche... - Obsypywał pocałunkami jej skronie, policzki, szyję, powrócił do ust. Ale jej to nie wystarczało. Pragnęła go całego, pragnęła rozpaczliwie, jakby stanowił brakującą część niej samej. Tę cześć, za którą tęskniła, bez której nie mogła... nie potrafiła już żyć. - Chodź, kochanie - szepnął czule do jej ucha. - Chodź...

Posadził ją na łóżku. Zsunął z niej koszulę i obnażył się sam. Stanął przed nią, piękny, rosły, złocony blaskiem ognia z kominka.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

- Julianie, moja miłości...

- Blanche... - szeptał, otaczając ją swoim ciepłym ciałem, swoją czułością i pożądaniem. - Moja Blanche...

Julian długo nie mógł zasnąć. Leżał w bardzo przyjemnym letargu. Nasycony, zmęczony w rozkoszny sposób.

Szczęśliwy.

Do tak zwanego szczęścia nigdy nie przywiązywał wagi. Przez całe dorosłe życie dawał nieograniczony upust swej energii, wykonując czynności przyjemne albo mniej lub bardziej satysfakcjonujące. Nie wierzył w szczęście i wcale za nim nie tęsknił.

Teraz jednak już wiedział, co to jest owo szczęście. Kiedy ma się poczucie, że wszystko jest tak, jak być powinno. Człowiek przebywa we właściwym miejscu z właściwą osobą, o istnieniu której mógł dotychczas tylko pomarzyć.

Kiedy człowiek jest w zgodzie z sobą, z całym światem i wszechświatem. Kiedy uświadamia sobie, że jego życie ma sens.

I to wszystko nie odnosi się tylko do tej jednej przelotnej chwili. Nie, bo to wskazówka na całą resztę życia. Nic nie gwarantuje szczęścia aż po grób, niemniej warto żyć w taki sposób, jak podpowiada ta właśnie chwila.

Nigdy nie wierzył w romantyczną miłość, lecz teraz był zakochany w Blanche Heyward.

Zakochany?! Więcej niż zakochany, dlatego jego obecny stan ducha zadziwiał go, wzbudzał w nim śmiech, śmiech nad samym sobą.

Ale stało się. Pokochał ją. W ciągu kilku dni, choć miał wrażenie, jakby znał ją od zawsze. Kochał. Blanche stała się dla niego tak samo ważna jak powietrze, którym mógł oddychać.

Dziwaczne myśli. Jeśli nie będzie trzymał swych uczuć na wodzy, skończy się na tym, że zacznie pisać poemat, sławiący, na przykład, jedną z jej cienkich brwi. Chociażby lewą...

Kpił z siebie w duchu, a jednocześnie gestem pełnym czułości odgarnął włosy z twarzy śpiącej Blanche.

Blanche... Zwodziła go przez kilka dni, w końcu jednak oddała mu się, co było zresztą naprawdę przyjemne. I o to w końcu chodziło. Tylko o to. A jeśli zdarzy się, że po powrocie do Londynu zostanie jego kochanką, kto wie, czy nie znudzi mu się po kilku tygodniach. Tak bywa z nimi wszystkimi, z tymi kochankami.

Musnął wargami jej czoło, potem usta. Blanche mruknęła coś przez sen, może i na znak protestu, ale nie obudziła się.

Tylko kochanka... Niestety... Bo nawet, mimo najlepszych chęci, nic tu nie można zmienić. Blanche jest córką kowala i tancerką operową, Julian zaś wicehrabią, który kiedyś odziedziczył tytuł hrabiowski. Między nimi możliwe są tylko jednego rodzaju relacje: bogaty protektor i utrzymanka.

Kiedy jednak wpatrywał się ogień dogasający w kominku, uświadomił sobie, że coś w jego życiu na zawsze się zmieniło. Nigdy się nie ożeni, chociaż doskonale wie, że zapewnienie sukcesji następnym pokoleniom jest jego świętym obowiązkiem, z którego powinien wywiązać się chociażby ze względu na matkę i siostry, by zapewnić im przyszłość. A także z racji swego urodzenia, wychowania i pozycji.

Ale nie uczyni tego. Jeśli nie może poślubić Blanche, a nie sądził, żeby kiedykolwiek było to możliwe, do końca życia pozostanie w stanie bezzennym.

Może za jakiś czas spojrzy na to inaczej, lecz teraz wiedział tylko, że kocha Blanche. Po raz pierwszy w życiu doświadcza na własnej skórze tego wstrząsającego uczucia, które, zgodnie z tym, co gdzieś kiedyś przeczytał, w życiu człowieka oznacza prawdziwe trzęsienie ziemi. I tak było w istocie.

Nie będzie jej jeszcze budził. Zrobi to później, ale z łóżka jej nie wypuści. Weźmie ją jeszcze raz, półsenną, a potem, jeśli oboje nie zasną, zaryzykuje i wyzna jej swoje uczucie. W gruncie rzeczy ryzyko niewielkie, przecież czuła do niego to samo, tej nocy szeptała nie raz.

Moja miłości...

Verity natychmiast po obudzeniu miała jasny obraz całej sytuacji. I nie miała żadnych złudzeń.

Była naiwna. W tej radosnej, świątecznej atmosferze łatwo poddała się sentymentom i uległa doświadczonemu uwodzicielowi. Nie opierała się, przeciwnie, sama tego pragnęła. Bez ociągania, bez słowa protestu oddała swoje ciało, czerpiąc z tego największą przyjemność, zamiast potraktować to jako zło konieczne, jako dotrzymanie warunków umowy, którą zawarli w Londynie.

Oddała jeszcze coś. Swoje serce. Oddała je wicehrabiemu, który po prostu potrzebował kochanki. A ona potrzebowała pieniędzy.

Teraz była kobietą upadłą. Zrobiła to w zbożnym celu, żeby ratować siostrę, ale fakt pozostaje faktem. Jest ladaczną.

Nie. Tego ranka nie będzie w stanie spojrzeć wicehrabiemu w twarz. Nie zniesie triumfu w jego oczach. Będzie cierpieć, kiedy lord swoim zachowaniem da jej do zrozumienia, że to, co się stało, znaczy dla niego bardzo niewiele. Co najwyżej zaproponuje,

żeby została jego utrzymanką, do której będzie przychodził, gdy poczuje ochotę, a potem znudzi się nią i porzuci.

Jak wytrzyma tu jeszcze tych kilka dni? A musi, przecież nie ma wyboru. Wzięła już od niego dwieście pięćdziesiąt funtów, tyle, ile guwernantka zarobi w cztery lata, i to u bardzo hojnych chlebowców. Cóż, zgodnie z umową musi zarobić jeszcze na pozostałych dwieście pięćdziesiąt funtów...

Wyjechać stąd, natychmiast. Nie byłoby to takie trudne. W wiosce codziennie zatrzymuje się dylizans, wiedziała to od służby. Teraz jednak wszędzie leżał śnieg, poza tym nie wiadomo, czy dylizans ruszy w drogę tuż po świętach. Z drugiej jednak strony wczoraj śnieg zaczął już topnieć, a noc była ciepła... Dlaczego więc dylizans nie miałby wyruszyć w drogę?

Obudzi go, na pewno. Kiedy będzie wstawać z łóżka albo później, kiedy będzie pakować się w garderobie. Zawsze przecież może wypuścić coś z rąk...

Niestety, szalony pomysł już zagnieździł się w jej głowie. Szalony, czuła jednak, że powinna się nań poważnie. Właśnie z rozsądku. Bo przy całej swojej naiwności nie dopuszczała nawet myśli, że do głosu może dojść serce. Nie zastanawiała się, co może się stać, gdy pozna swego chlebowcę bliżej. Niestety ku jej zgubie okazało się, że jest to człowiek pełen zalet, sympatyczny, czarujący. Człowiek, którego tak łatwo pokochać...

Ostrożnie wysunęła się z jego ramion. Wicehrabia mruknął tylko coś przez sen. Odczekała chwilę. Spał dalej, więc jak najostrożniej zsunęła się z łóżka, cichusieńko zgarnęła z podłogi koszulę i na palcach podeszła do drzwi do garderoby. Na szczęście były uchylone, a zawiasy porządnie naoliwione.

Zapaliła tylko jedną świecę. Ochlapała się pobieżnie w lodowatej wodzie, ubrała się ciepło, spakowała w parę minut. Sygnet zostawiła na umywalce. Zostawiła jeszcze coś.

Dotknęła złotej gwiazdki, pogłaskała złoty łańcuszek. Jakże pragnęła zabrać ten klejnot z sobą! Byłaby to jedyna pamiątka po tej nocy, po tej wielkiej, jedynej miłości.

Nie, nie potrzebuje żadnych pamiątek. Tę miłość i tak na zawsze zachowa w sercu. A poza tym, zważywszy na okoliczności, nie powinna zabierać rzeczy tak cennej.

Chwyciła sakwojaż i wyszła z garderoby drugimi drzwiami, wiodącymi na korytarz. W całym domu panowała cisza. Zeszła na dół i z duszą na ramieniu przemknęła przez hol do drzwi frontowych. Drogą dojazdową szybko doszła do gościńca. Minęła przewrócony powóz państwa Moffattów wylaniający się z topniejącego śniegu i ruszyła przed siebie, do wioski.

Serce bolało. Z tęsknoty za złotą gwiazdką na złotym łańcuszku, tą garstką złotą, tak pasującą do jej dłoni. I za gwiazdą betlejemską, która w tym roku dała tyle radości i tyle nadziei, która skusiła Verity do popełnienia czynu tak nierozważnego.

Bolało z tęsknoty za człowiekiem, który, jak miała nadzieję, spał jeszcze. Spał w łóżku, w którym jeszcze przed półgodziną spała także ona.

Nigdy go więcej nie zobaczy.

Nigdy. Ten wyraz ma w sobie przerażającą, okrutną moc.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Odnalezienie jej zajęło Julianowi trzy miesiące. Chociaż trudno mówić o odnalezieniu. Zobaczył ją tylko przelotnie, na ulicy, i znów znikła.

Tamtego dnia, po świętach Bożego Narodzenia, kiedy obudził się rano i zobaczył, że jest w łóżku sam, był wielce niezadowolony. Ubierał się i golił bez pośpiechu, w nadziei że Blanche wróci, zanim on będzie gotowy. Tak się jednak nie stało, więc poszedł szukać. Nie było jej ani w bawialni, ani w salonie, ani w pokoju jadalnym, ani w kuchni. Ale nie był tym jeszcze zaniepokojony, nawet wtedy, gdy wyjrzał przez frontowe drzwi i też jej nie zobaczył. Pomyślał, że najprawdopodobniej jest na górze, w pokoju pani Moffatt, i zachwyca się jej małą córeczką.

Prawdę odkrył, gdy zbliżało się południe. Ona odeszła. Zabrała swoje rzeczy, wszystkie oprócz złotej gwiazdki na łańcuszku. Leżała na komodzie. Wtedy chwycił tę garstkę cennego kruszcu, zacisnął na niej palce w milczącym geście największej rozpacz.

Jeszcze tego samego dnia wrócił do Londynu, przedtem serwując wszystkim stek nowych kłamstw, i od razu wszczął poszukiwania. Dowiedział się, że Blanche nie pracuje już w operze. Nie zaangażowała się do innego teatru, sprawdził przecież wszystkie. Nikt w operze nie wiedział, gdzie obecnie przebywa, po raz ostatni widziano ją przed świętami.

W końcu, dzięki sporej sumce, dyrektor opery dał mu adres. Niestety, nie mieszkała tam żadna Blanche Heyward. Tak twierdziła właścicielka domu. Nikt też nie odpowiadał rysopisowi, podanemu przez wicehrabiego, może tylko panna Ewing, która mieszkała tutaj i wyróżniała się wzrostem. Ale panna Ewing nie była tancerką operową, także pozostałe damy, które z nią mieszkały. Tancerka! Cóż za niedorzeczny pomysł! Właścicielka domu wcale nie kryła oburzenia. W rezultacie zdesperowany hrabia gotów był udać się do Somersetshire i poszukać owej kuźni. Ile jednak tych kuźni może tam być? Blanche zapewne wcale nie chciała, by ją odnalazł.

Starał się wymazać ją z pamięci, zbagatelizować to, co w tej pamięci jednak zostało.

Owszem, tegoroczne święta Bożego Narodzenia były nadzwyczaj przyjemne, przede wszystkim dzięki Blanche Heyward, a wspólna noc stała się lukrem na i tak wystarczająco słodkim, pysznym cieście. Ale niczym więcej. Poza tym nie można obchodzić świąt przez cały rok.

Pod koniec stycznia pojechał z trzydniową wizytą do Conway Hall. Rodzice powitali go tak czule, a siostra z takimi pretensjami, że omal nie stracił odwagi. Jednak zebrał się w

garść i kiedy pewnego popołudnia zasiadł wraz z ojcem w bibliotece, przekazał mu swoją decyzję. Nigdy nie poślubi lady Sarah Plunkett. I zanim ojciec zdążył zadać pytanie, a z kim to jego syn zamierza się ożenić, Julian wyznał, że na całym świecie istnieje tylko jedna kobieta, którą wziąłby pod uwagę. Ale ta kobieta nie wyjdzie za niego, bo byłby to mezalians.

- Mezalians? - powtórzył ojciec, unosząc brwi.

- Tak. Ona jest córką kowala.

- A, kowala... - Hrabia zacisnął usta. - I, jak rozumiem, to ona nie chce wyjść za ciebie? - Czyli ma więcej rozsądku niż ty.

- Kocham ją - wyznał Julian. Ojciec mruknął tylko coś niezrozumiale. Był to jego jedyny komentarz, może i wystarczający, skoro niebezpieczeństwo, że do tego małżeństwa dojdzie, i tak nie istniało.

Po powrocie do Londynu dalej szukał bezskutecznie, aż nadszedł marzec. Wtedy to, gdy pewnego popołudnia szedł Oxford Street, nagle ją zauważył po drugiej stronie ulicy, jak razem z jakąś inną panną wychodziła od modystki. Stał jak wryty, nie dowierzając własnym oczom. Ale to na pewno była ona. Zauważyła go, nawet przez sekundę patrzyli sobie w oczy, kiedy jednak Julian zaczął iść w jej stronę, Blanche oddaliła się szybkim krokiem.

W tym samym momencie właściciel wolanta i właściciel kupieckiej fury rozpoczęli zażarty spór o to, kto ma prawo pierwszy wyminąć wielki powóz, do którego wsiadały akurat dwie osoby obciążone paczkami. Ani kupiec, ani dżentelmen nie chcieli ustąpić. Kupiec klął otwarcie, dżentelmen również, choć może odrobinę mniej dosadnie. Na trotuarze zebrała się gromada gapiów. Zanim Julian zdążył się przez nią przebić, panna Heyward zniknęła. Julian, oczywiście, poszedł dalej w tamtą stronę. Zaglądał do każdego sklepu, wpatrywał się w każdą przecznicę. Na próżno.

Blanche nie życzyła sobie, żeby ją odnalazł. To oczywiste. Nie życzyła sobie także pozostałej części swego zarobku.

Czyli tamtej nocy nie była szczerą. Po prostu odegrała swoją rolę. A on, głupiec, myślał, że obudził w niej uczucia podobne do swoich. Jakby Blanche miała być zachwycona utratą dziewictwa, które odebrał jej hulaka! Czyli jest skończonym durniem.

Poniechał dalszych poszukiwań. Niech Blanche żyje sobie po swojemu. Miał tylko nadzieję, że tamtych dwieście pięćdziesiąt funtów wystarczyło na zaspokojenie potrzeb rodziny kowala. Potrzeb bardzo pilnych, skoro skłoniły pannę Heyward do przyjęcia jego propozycji. Miał też nadzieję, że z tej kwoty pozostała jakaś sumka na potrzeby samej Blanche.

W tym postanowieniu wytrwał do kwietnia, dokładnie do dnia, w którym udał się do swej siostry na raut. Kiedy siostra, ująwszy go pod ramię, weszła z nim do salonu wypełnionego gośćmi, Julian nagle przystanął.

- Kto to jest? - spytał, wskazując dyskretnie głową na bardzo ładną, szczupłą młodzieńką panią. Stała z jakąś damą w dojrzałym wieku, generałem sir Hectorem Ewingiem i jego małżonką.

- Chodzi ci o generała? - spytała siostra. - Nie znasz go? Przecież to...

- Nie, nie generał. Kim jest ta dziewczyna obok niego?

Siostra zajrzała mu w twarz i uśmiechnęła się.

- Podoba ci się? Ładna panna, owszem. To bratanica generała, panna Chastity Ewing.

Ewing! Tak przecież brzmiało nazwisko wysokiej damy, która mieszkała pod adresem podanym dyrektorowi opery przez Blanche Heyward. A ta młoda dama, Chastity Ewing, była wtedy razem z Blanche na Oxford Street.

- Znam generała, ale bardzo powierzchownie, Elinor. Proszę, przedstaw mnie pannie Ewing.

Siostra zaśmiała się głośno.

- Och, Julianie! Wystarczyło ci jedno spojrzenie na pannę! Bardzo interesujące, bardzo... Chodźmy więc. Przedstawię cię.

- Kto? - spytała Verity słabym głosem. - Powtórz, Chastity, proszę...

- Wicehrabia Folingsby. Mam nadzieję, że dobrze zapamiętałam nazwisko. Brat lady Blanch - ford. Bardzo przystojny i czarujący.

Serce Verity zakołatało w piersi. Niestety, stało się to, co musiało się stać. Wiedziała, że Julian jest w Londynie - natknęła się przecież na niego - a skoro tu jest, bywa na różnych spotkaniach towarzyskich, zwłaszcza teraz, na początku sezonu. A u Verity sytuacja zmieniła się diametralnie dzięki stryjowi, który wrócił z Wiednia kilka dni po świętach i zaopiekował się rodziną zmarłego brata. Pani Ewing wraz z córkami przeniosła się do jego domu, a teraz stryj wprowadzał Chastity w wielki świat. Verity, naturalnie, wymówiła się od bywania, zasłaniając się swoim rzekomo zaawansowanym wiekiem. I teraz ona, jak kiedyś Chastity, czekała wieczorami na powrót siostry.

- Dobrze o tym wiesz, Verity! - Chastity uśmiechnęła się figlarnie i przysiadła na łóżku obok siostry. - Przecież go znasz.

Serce w piersi Verity wykonało prawdziwe salto.

- Jat?! - Naturalnie! A sądząc po twojej niewyraźnej minie, pamiętasz go doskonale! Wicehrabia opowiadał nam o świętach Bożego Narodzenia na wsi...

Miała wrażenie, jakby cała krew odpływała jej z głowy.

- O Boże... Czy mama też tego słuchała?

- Naturalnie! Przecież brała udział w tej rozmowie, i stryj też.

- Stryj... też?

Czyli jutro niechybnie wszystkie trzy zostaną wyrzucone na ulicę. Trzeba koniecznie przebłagać stryja, żeby wyrzucił tylko Verity. Ona i tak już mu się naraziła odmową bywania w wielkim świecie, ale dlaczego ma cierpieć mama i Chastity? - Wicehrabia wiedział, że lady Coleman zaraz po świętach pojechała do Szkocji - paplała dalej siostra. - Sądził, że pojechałaś razem z nią. Był bardzo zaskoczony, kiedy dowiedział się, że jesteś w Londynie.

- Co?! Przecież lady Coleman nie istniała, a on wcale nie wiedział, że Blanche Heyward to w istocie Verity Ewing.

- Och, Verity! Ty głupia gąsko! - Chastity chwyciła siostrę za rękę i przytuliła jej dłoń do policzka. - Byłaś pewna, że wicehrabia w ogóle nie zapamiętał skromnej damy do towarzystwa, lecz on opowiedział mamie, że dzięki tobie święta stały się radosne dla wszystkich. Mówił też o duchownym i jego rodzinie, którzy zjawili się niespodzianie, i o tym, że odebrałaś poród. A ty, Verity, nie powiedziałaś nam o tym ani słowa! Wicehrabia przyznał się też mamie, że pod gałęzią pocałunków skradł ci całusa. Och, jaki on ma cudowny uśmiech! Taki trochę łobuzerski...

- Och...

- A ty myślałaś, że on o tobie zapomni? Wcale nie zapomniał! Spytał mamę, czy mógłby złożyć ci wizytę. Potem poprosił stryja o chwilę rozmowy na osobności. Stryj, naturalnie, zgodził się. Verity, on jest cudowny! Wystarczająco cudowny, żeby był dla ciebie. Wicehrabina Folingsby! O tak! - Chastity roześmiała się perliście. - Do ciebie to znakomicie pasuje, uwierz mi.

A ja teraz pojmuję, dlaczego nie chciałaś bywać w towarzystwie. Bałaś się, że go spotkasz, a on nie będzie pamiętał, kim jesteś. Ty głuptasie!

Verity nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Wicehrabia wiedział, kim ona jest naprawdę! A mama i Chastity musiały podczas rozmowy wspomnieć coś o lady Coleman, owej chlebobawczyni Verity, i wicehrabia natychmiast to podchwycił! Teraz chce zobaczyć się z Verity. Po co? Żeby zapłacić resztę ustalonej kwoty? Nonsens, przecież na te pieniądze nie zapracowała. Może więc zażąda zwrotu przedpłaty? Z tym nie będzie kłopotu. Poświęcenie Verity okazało się niepotrzebne. Na trzeci dzień po powrocie do Londynu przeniosły się do domu stryja, który roztoczył nad nimi całkowitą opiekę, w tym również finansową. Zapewniał im wszystko, płacił też za doktora i leki.

Może wicehrabia uważa, że nie przyłożyła się do zarobienia przedpłaty. Będzie chciał, żeby została jego kochanką. Kochanką... Nie, to niemożliwe. Przecież wie, że jest bratanicą generała Edwina.

Nie chciała go widzieć. Na samą myśl o tym ogarniał ją paniczny strach. Przecież miłość nie wygasła. Ból po rozstaniu wcale nie zelżał w ciągu minionych czterech miesięcy, tylko stawał się jeszcze bardziej dotkliwy. Przeżyła też ciężkie dni, kiedy czekała, czy krótki romans nie zaowocował potomstwem. Gdy przekonała się, że nie, z wielkiej ulgi nogi na chwilę odmówiły jej posłuszeństwa, ale potem poczuła jeszcze coś. Gorzkie rozczarowanie...

- Verity! - Chastity wpatrywała się w nią roziskrzonym wzrokiem. - Nie oszukasz mnie! Jesteś w nim zakochana! Jakie to cudowne! Jakie romantyczne! Jak w bajce!

- Nonsense! - Wyrwała rękę, zerwała się na równe nogi. - Głuptas z ciebie! - rzuciła porywczo. - I powinnaś zaraz położyć się spać. Jesteś już zdrowa, ale nie wolno ci się przemęczać. Odwróć się, rozepnę ci guziki przy sukni.

Niełatwo jednak było odwrócić uwagę Chastity. Zarzuciła siostrze rękę na szyję.

- Och, Verity! - powiedziała wzruszonym głosem. - Jestem zdrowa tylko dzięki twojemu poświęceniu. Nigdy tego nie zapomnę. Modlę się codziennie, żeby los ci to wynagrodził. I chyba tak się stało! Gdybyś nie najęła się do lady Coleman, nie spędzała świąt razem z nią na wsi, nigdy byś nie poznała wicehrabiego! Och, zaraz się rozplaczę ze szczęścia...

- Lepiej idź już do łóżka. Wicehrabia Folingsby zabawiał was pogawędką ze zwykłej uprzejmości, a ty zaraz wyciągasz z tego pochopne wnioski. Poza tym... poza tym on niespecjalnie mi się podoba...

- Naprawdę?! - Chastity wybuchnęła głośnym śmiechem.

Verity nie powiedziała już nic, tylko poszła do swego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i mocno zacisnęła powieki.

Odnalazł ją. Może to i lepiej... mimo wszystko. Po ich rozstaniu w duszy Verity zrobiło się tak przeraźliwie szaro, tak pusto. Trapiło ją też poczucie, że coś nie zostało doprowadzone do końca, choć powinno.

Nie wiedziała, dlaczego wicehrabia chce im złożyć wizytę. Na pewno nie z powodów, które przedstawiła głupiutka Chastity. Jednak powinni się zobaczyć, czuła to. Może spotkanie pomoże jej zamknąć na zawsze ten rozdział swego życia.

Może wtedy będzie w stanie przestać go kochać.

Poprzedniego wieczoru rozmawiał z jej stryjem. Rankiem znów się spotkali, by omówić jeszcze pewne sprawy i ustalić szczegóły. Dzisiejszego popołudnia rozmawiał z jej

matką. Potem pani Ewing wyszła, by przekazać córce, żeby zeszła na dół, do saloniku, gdzie czekał Julian. Był zdenerwowany jak jeszcze nigdy w życiu.

Zamknęła za sobą drzwi. I dalej tam stała, z rękoma schowanymi za plecami. Pewnie nadal trzymała klamkę. Wydawała się szczuplejsza, wymizerowana. Suknia z jasnozielonego muślinu była bardzo skromna, tak samo jak uczesanie, ale i tak była tym, czym była w istocie. Nadzwyczaj piękną kobietą.

Wicehrabia zgiął się w wytwornym ukłonie.

- Panno Ewing... Jeszcze przez kilka minut stała nieruchomo, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Potem jakby ocknęła się. Puściła nagle klamkę i dygnęła.

- Milordzie...

- Panna Verity Ewing. Czyli tamto nazwisko to był pseudonim.

Pominęła milczeniem tę uwagę.

- Verity...

- Zostało mi dwieście funtów - powiedziała cichym, prawie niesłyszalnym głosem, ale głowę trzymała wysoko, ramiona miała wyprostowane. - Nie były potrzebne. Zwrócę je panu. Mam nadzieję, że pięćdziesiąt funtów puści pan w niepamięć. Poza tym ja... ja zarobiłam na nie, przynajmniej po części.

On wiedział już wszystko. Młodsza z pań Ewing była bardzo chora, na granicy śmierci. Verity podjęła pracę, żeby było czym płacić doktorowi i za leki. Została tancerką, lecz dla rodziny damą do towarzystwa wyimaginowanej lady Coleman. Zrobiła to dla siostry.

- Sądzę, że pani niewinność była warta pięćdziesiąt funtów.

- Dziękuję. Tu jest reszta. Z małej torebki z aksamitu wyjęła zwój banknotów. Julian nie ruszył się z miejsca. Podeszła więc do niego i podała mu pieniądze. Odebrał je jedną ręką, drugą wyjął torebkę z rąk Verity i położył na krześle.

- Jest pani teraz usatysfakcjonowana? Skinęła głową.

- Proszę wybaczyć, powinnam była zwrócić je panu wcześniej, ale nie wiedziałam, jak...

- Verity... Zamknęła oczy.

- Nie!

- Verity, kocham panią.

- Nie! Proszę, niech pan nic takiego nie mówi! Między nami koniec! Nigdy nie zostanę pańską utrzymanką. Wiem, że już na zawsze zostanę kobietą upadłą, ale utrzymanką nie będę. Proszę, niech pan już stąd idzie. I dziękuję za dyskrecję, za to, że nie wydał mnie pan przed moją matką i siostrą. Ani przed stryjem.

- Kocham panią, Verity alias Blanche Heyward. Nie zamierzam stąd wychodzić, zanim nie zadam pani pewnego pytania. Verity, czy zostanie pani moją żoną?

Zadrzała. Powieki się uniosły. Jej spojrzenie umiejscowiło się gdzieś w okolicy jego brody.

- Ach! Pojmuję, milordzie! Wie pan teraz, że jestem córką dżentelmena, więc sam, jako dżentelmen robi to, co nakazuje zwykła przyzwoitość. Zbytek łaski! I proszę się nie kłopotać. Obiecuję, że ja też pana przed nikim nie wydam.

- Verity, proszę, niechże pani mnie wysłucha... Tu nie chodzi o żadną tak zwaną zwykłą przyzwoitość. Robię to, bo tamtej nocy, kiedy byliśmy razem, zrozumiałem, że nie ma to nic wspólnego z uciechami, jakie dla przyjemności kupują sobie dżentelmeni. I dla mnie, jak dla pani, był to też ten pierwszy raz. Doznałem nie tylko przyjemności. Po raz pierwszy w życiu czułem miłość. Miłość do pani, kiedy trzymałem ją w ramionach. To samo czułem potem, to samo czuję do dziś. Stała się pani dla mnie jak powietrze, które wdycham, jak życie, którym żyję, stała się pani częścią mojej duszy. Myślałem, że pani czuje tak samo, nie wyobrażałem sobie, że może być inaczej. Dopóki pani nie odeszła...

- Musiałam odejść, milordzie. Byłam córką kowala, tancerką operową i ladacznicą. Nie łudziłam się. Nawet gdyby pan mi potem cokolwiek zaproponował, na pewno nie byłoby to małżeństwo. Teraz jestem córką duchownego, ale plama pozostała. Oddałam się panu dla pieniędzy. Jestem ladacznicą, niczym więcej!

Wicehrabia zbladł.

- W takim razie... musi pani mi oddać te pięćdziesiąt funtów, oddać co do pensa! - rzucił gwałtownie. - Niech te przeklęte pieniądze nie stoją już między nami! I proszę natychmiast odwołać to okropne określenie, jakiego użyła pani wobec siebie. Verity... - Chwycił ją za rękę, przyciągnął ku sobie. - Niech pani powie prawdę. Prawdę, Verity*! Dlaczego oddała mi się pani tamtej nocy? Czy dlatego, że była pani ulicznicą, która w ten sposób zarabia na chleb? Czy dlatego, że była pani kobietą, która kochała prawdziwie, dawała miłość i brała ją, nie myśląc wcale o pieniądzach? Kim pani była, Verity? Proszę, niech pani spojrzy mi w oczy i powie prawdę! - Podniosła głowę, ale usta były zaciśnięte. Julian szepnął błagalnie: - Powiedz mi, Verity... - Szept z trudem wydobywał się ze ściśniętego gardła. Przecież cała jego przyszłość, szczęście, wszystko zależy od tego, co powie teraz Verity.

Kiedy przemówiła, czuł, jak wielki kamień spada mu z serca.

* Verity (ang.) - prawda. (Przyp. tłum.)

- Jak mogłam pana nie pokochać, milordzie”? To były czarodziejskie dni. Do Norfolkshire pojechałam z cynicznym, aroganckim hulaką, a tam okazało się, że ów hulaka jest pełnym ciepła, miłym i pogodnym człowiekiem o czułym sercu. Jak mogłam nie pokochać pana, nie oddać mu mego serca i mego ciała? Och, kiedy... kiedy to się zdarzyło, ani razu nie pomyślałam o sobie jak o ladacznicy...

- Bo pani nią nie jest. My się kochamy, Verity, należymy do siebie. To, co zrobiliśmy w Norfolkshire, nie było właściwe, powinno się zdarzyć dopiero po ślubie. Myślę jednak, że Bóg wybacza grzechy o wiele cięższe... A zanim zacznę znów panią błagać, żeby została moją żoną, powiem coś jeszcze. Po świętach pojechałam do Conway Hall, chciałam przede wszystkim zobaczyć się z moim ojcem, hrabią Granthamem. Jestem jego spadkobiercą i jedynym synem, dlatego od jakiegoś czasu bardzo nalega, żebym się ożenił i miał potomstwo. Kocham ojca, wiem też, jakie obowiązki wiążą się z moją pozycją, ale powiedziałem mu, że gdybym miał się ożenić, to tylko z panią. A byłem wtedy przekonany, że pani jest córką kowala i tancerką operową. Nigdy nie pomyślałem o pani jak o ladacznicy. Verity, połączyła nas miłość, nie pieniądze.

- A :o... co powiedział pański ojciec? - W naszej rodzinie uczucia zawsze stawiano na pierwszym miejscu. Wiem, że ojciec, naturalnie z pewnym ociąganiem, dałby mi swoje błogosławieństwo, nawet gdybym brał za żonę córkę kowala.

- Tak... - Spojrzała na ich złęczone dłonie. - Mimo to... nie powinien pan tu przychodzić. To były święta, milordzie. Podczas świąt wszystko wygląda inaczej. Jest piękniejsze, a co za tym idzie, bardziej nierealne. Zbłądziłam...

- Zbłądziliśmy oboje, Verity, a jednocześnie dostąpiliśmy szczęścia. Stało się to podczas świąt, w ten czas tak radosny. Dlaczego nie możemy doświadczać tego nadal. Czy to, co wydarzyło się w Betlejem, miało dać światu radość tylko na jeden dzień? Czy nie możemy naszego szczęścia nosić w sercu przez cały rok?

Puścił jej rękę, sięgnął do wewnętrznej kieszonki fraka i wyjął białą chustkę. Położył sobie na dłoni i ostrożnie rozchylił rożki.

Na śnieżnej bieli rozbłysło złotem.

- Kiedy podarowałem pani ten klejnocik, powiedziała pani, że gwiazda betlejemska daje nadzieję, prowadzi ku mądrości i pozwala pojąć sens życia. Może i nie wszyscy by się z tym zgodzili, ale ja na pewno. Wierzę, że podczas tych świąt nieświadomie też podążyliśmy za gwiazdą, jak ci mędrcy ze Wschodu, którzy nie wiedzieli przecież dokładnie, dokąd jadą i po co. Ta gwiazda przywiodła nas ku sobie, ku nadziei, ku miłości. Możemy pójść za nią

dalej, do ostatecznego celu, którym jest nasza wspólna przyszłość, w której będzie miejsce na miłość, przyjaźń, na szczęście. Zróbmy to, Verity. Proszę cię...

Podniosła głowę. Jej szmaragdowe oczy lśniły od łez.

- Czyli... Boże Narodzenie będzie zawsze? Każdego dnia?

- Tak. Chociaż nie oznacza to żadnych czarów, bo to my sami z każdego dnia uczynimy święto. Jeśli się postaramy, każdy wspólny dzień naszego życia będzie dla nas cudem.

- Och, milordzie...

- Julianie.

- Julianie... Na słodkiej twarzy Verity powoli rozkwitał uśmiech.

- Powinnam była bardziej zawierzyć swemu sercu niż głowie. Moje serce mówiło mi, że jest to wzajemna miłość, ale głowa sprzeciwiała się temu... - Oplotła ramionami jego szyję, szmaragdowe oczy lśniły jak dwie gwiazdy, prawdziwe gwiazdy betlejemskie. - Tak, Julianie, tak! Zostanę twoją żoną, jeśli naprawdę tego chcesz. A czuję, że tak jest. I ja też tego pragnę. Pokochałam cię, a jednocześnie w tej miłości było za mało zaufania... Wybacz, ukochany... Ja...

Uciszył ją pocałunkiem, potem objął jak najmocniej trzymał bowiem w ramionach najdroższą istotę na świecie. W duchu przysięgał zaś, że już nigdy nie pozwoli, by ta słodka, kochana istota kiedykolwiek zniknęła mu z oczu. Nigdy też nie zapomni, że los dał mu szansę, na którą wcale nie zasłużył. Ale jednak dał. Kazał iść przez pustynię, iść za gwiazdą, która powiodła znudzonego życiem, cynicznego wicehrabiego Folingsby'ego ku szczęściu, tam, gdzie panuje pokój, zbawienie i miłość.

Kiedy całowali się namiętnie i radośnie, Julian w dłoni, przyciśniętej do pleców Verity, ścisnął białą chustkę. Pamiątkę po jej ojcu, którą teraz oboje, Julian i Verity, chronić będą jak skarb. W białe płócienko zawinięta była garstka złota, złota gwiazdka na złotym łańcuszku, którą wicehrabia za kilka minut zawiesi na szyi Verity.